

W numerze: Noc i dzień w Marsylii • Czy pszczoły opanują ziemię? • Król i generał • W sprawie krytyki filmowej • Zabójca powinien być ostrożny • Recenzje • Felietony • Polonica

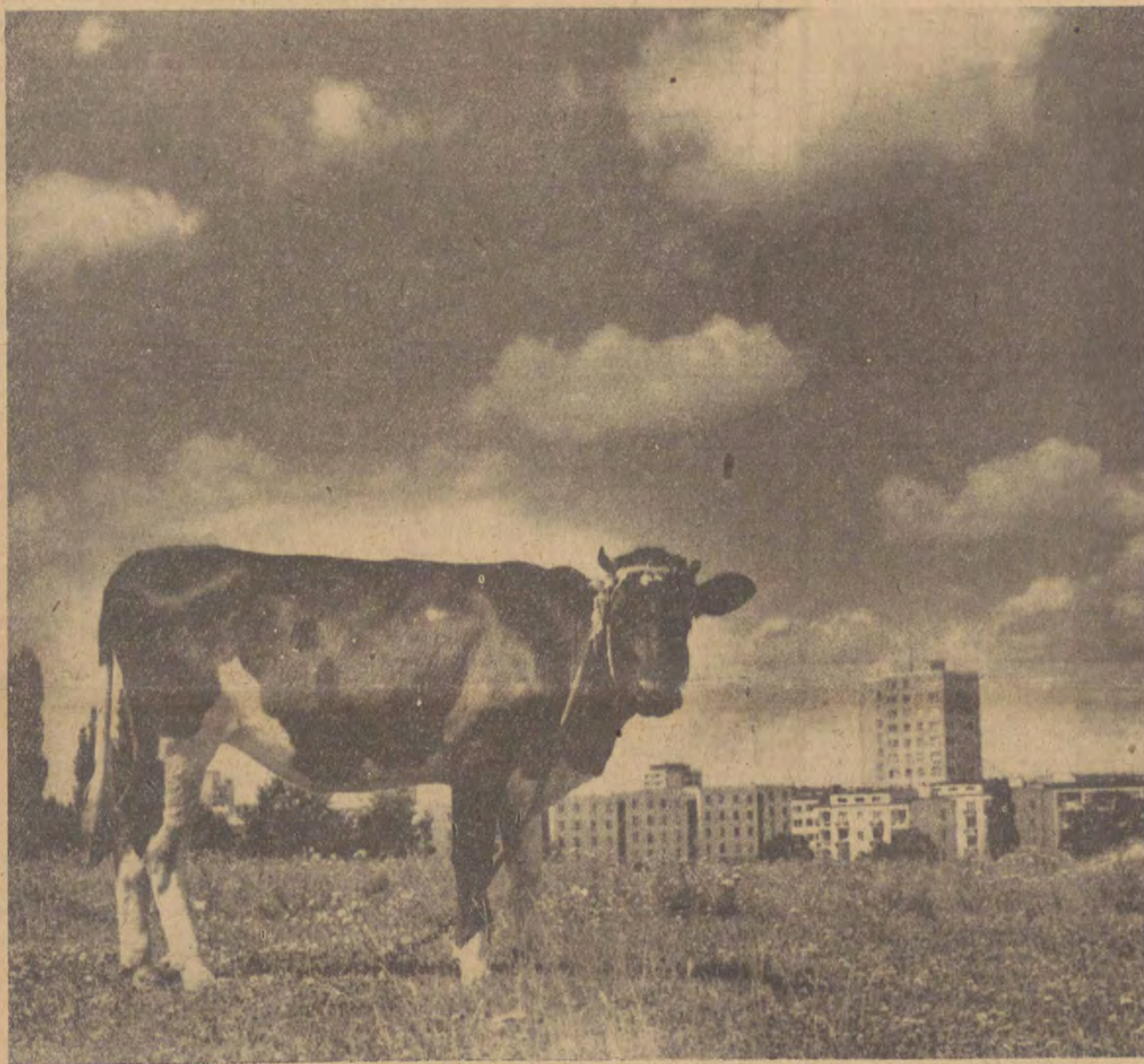
odgłosy



Nr 43 (353)
31. X. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



Fot. W. Parys

JAN BABIŃSKI

KOMU KLUCZE DO MIESZKANIA?

Ta droga była niemal mitycznym labiryntem. Wiodła przez multum biur, korytarzy, urzędów. Już łatwiejsze zadanie od łódzkiego petenta miał zgola Tezeusz. Sprytna Ariadna wsunęła mu kłębek nici do ręki, dającą mądrą radę, by je odwijał w miarę jak będzie się posuwał w głąb labiryntu. Po tej nitce Tezeusz jakoś dobrnął do wyjścia. Petent natomiast jeśli odnalazł wyjście z Kwaterunku to i tak prowadziło ono tylko na puste pole. Tysiąc kłębów nici ze wszystkich łódzkich fabryk też na nic by się zdały.

Z nici mieszkań nie zbudujesz, a Kwaterunek mieszkań po prostu nie miał. Wiele zwodził, kołował, płał, czasem gmatwał — coś trzeba było robić. Czymś usprawiedliwić swoją egzystencję. Nigdy nie zazdrościłem pracownikom Kwaterunku. Wiedli życie z urojenia. Usilowali sprzedawać towar, który nie istniał. Nigdzie nie było mieszkania, a oni sprzedawali. Konflikt między urzędem i obywatelem nie spiętrzył się do takich rozmiarów jak w Kwaterunku. Nigdy nie był tak dramatyczny. Przez długie lata w Łodzi nie budowano niemal żadnych mieszkań. Tych kilka wymalowanych bloków na Bałutach spełniało tylko rolę plastru.

Wreszcie postawiono sprawę po męsku. Wszyscy budujemy, nie tylko państwo. Zaważyły nie tylko względy ekonomiczne. Nie tylko konieczność zrównoważenia budżetu. Przypuszczam, że uwzględniono też głosy socjologów. Darmowy rozdział znikomej ilości mieszkań miał w sobie coś z jałmużny. Groził psychicznym wykoślawieniem. Społeczna degeneracja. Nie potrzebuję o niczym myśleć — o nic się sta-

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ NADOLSKI

„WĘDKA NAPOLEONA”

Wszyscy wiedzą, że Napoleon był Korsykaninem. Zna na ten temat, przynajmniej historykom, niezwykła, imponująca pracowitość Cesarza Francuzów. Sypiał mało, jadł szybko, zajęty nieustannie sprawami swej armii i swego imperium. Nawet podczas częstych, dalekich podróży, w powozie unoszącym go z jednego krańca Europy w drugi układał plany wojenne, dyktował listy i depeche.

Wydaje się jednak, że ten najsłynniejszy syn Korsyki zużył na własne potrzeby cały przydział chęci do pracy przypadający jego ojczyźnie. Dziś we Francji Korsykanin to synonim lenia absolutnego, który do roboty bierze się kiedy już konieczność

musi, a i wtedy stara się od czasu do czasu poproźnować. Opowiadają o tym mnóstwo anegdot. Oto jedna z nich: Domeniko i Antonio (typowe korsykańskie imiona) pierwszy raz w życiu przyjechali na kontynent. Spacerują ulicami Marsylii. Widzą dom w budowie, a przed nim tablicę „Ostrożnie — niebezpieczeństwo! Tu się pracuje!” Popatrzyli — mówili do Antonia: „Widzisz? Właśnie tu, gdzie my jesteśmy, ludzie w tej Marsylii, z daleka nas ostrzegają!”

Z Korsykanami zetknąłem się po raz pierwszy w Montaigne, gdzie pośród naszych robotników znajdowali się dwaj przybysze z tej włosko-francuskiej wyspy. Pierwszy

z nich Domeniko był wierną kopią swego imiennika z anegdoty. Pracy bał się jak ognia. Drugi stanowił niezwykły wyjątek. Robotny, solidny, odpowiedzialny. Wymyślił prosty, a dogodny przyrząd ułatwiający pomiary w obrębie wykopy. Na cześć wynalazcy nazwaliśmy ten przyrząd „Wędką Napoleona”. Bo nasz pracownik Korsykanin podobny był do swego sławnego rodaka także i z wyglądu i to jak dwie krople wody. Możliwe, że naprawdę łączyło go jakieś pokrewieństwo z rodziną Buonaparte? Na takiej wyspie pewno wszyscy są krewni.

Sama wyspę poznaliśmy w kilka tygodni później, już po ukończeniu badań w Langwedocji. Francuzi nazywali ją „Wyspą Piękności” (Il de Beauté) i na Wędkę Napoleona mają rację! Znużeni łokciem na swych doszczętnie przeludnionych plażach śródziemnomorskich, zaczynają ją mowić odwiedzać w okresie urlopów. W Paryżu na każdym kroku widzi się plakaty zachwalające korsykańskie plaże i letniska. Jeszcze kilka naście lat i wzdłuż wybrzeży Korsyki wyrosną gęsto, jedno przy drugim hotele, pensjonaty, kolonie wakacyjne, kąpieliska, campingi i stacje benzynowe. Urok Wyspy Piękności przyćmiewia opary dymów spalinowych, przysłuszają ryki megafonów. Na plażach nadmorskich zamiast barwnych

muszlelek można będzie (a nawet trzeba będzie!) grabiać mi zagarniać tysiące niedopalków, plastikowych opakowań i buteleczek po olejku imitującym opaleniznę.

Ale do tego jeszcze daleko. Korsyka jest duża i najazd turystów jak na razie pozostawia na niej tylko niewielkie ślady. Pod niektórymi względami wolałoby się nawet aby kolorystycznie utracił nieco swej oryginalności i zbliżył się do przeciętnego, europejskiego standardu. Tego zdania jest chyba pewna Szwajcarka, która od szeregu lat spędzała wraz z kilkuletnią córeczką wakacje we własnej willi niedaleko Ajaccio. Panie były, jak to czasem mówią poznawcy „ciężko bogate”, a przy tym snobizowały się trochę, doświadczyły po sąsiednich, całkiem zresztą skromnych placach i kawiarniach wspaniałą biżuterię. Rezultat parady okazał się zaskakujący. Pewnej pięknej nocy (tam wszystkie noce są piękne) kilku zamaskowanych gentelmanów pod plynącą motorówką do nadmorskiej siedziby Szwajcerek. Związały służbę, wtargnęli do willi i tu, choć byli uzbrojeni w pistolety maszynowe najnowszego typu, postużyli się bronią prymitywniejszą, za to bardziej działającą na wyobraźnię. Przyłożyli do szyi córeczkę otwartą brzytwę i poprosili uprzejmie o wydanie

biżuterii. W przeciwnym razie, będzie im ogromnie przykro, ale... Panienska podobno zachowała się bardzo dzielnie, mama wołała jednak nie ryzykować. Całą historię podały gazety, donoszące zarazem, że policja rozpoczęła pościg. Miejscowi sceptycznie kiwali głowami: niełatwo ująć bandytów, którzy na pewno mają zawsze przygotowane, bezpieczne kryjówki w górzystym wnętrzu wyspy.

A gór na Korsyce nie brak. Ich szczyty sięgają wyżej niż wierzchołki Tatr. Szosy wiją się po stromych zboczach, przebiegają z jednego grzbieta na drugi, wciskają między grzebienie skalne ponad przepaściami wąwozami. Daleko, daleko w dole, widnieją maleńkie, prawie nierealne wraki samochodów. To pamiętki po tych, co nie umieli skręcić w porę. Tak, tak, doświadczenia korsykańskie (i nieco wcześniejsze z wycieczki do pienejskiej Andorry) każą mi uśmiechać się łagodnie na słynnych naszych „serpentynach” między Zakopanem a Morskim Okiem...

Stoki górskie poniżej skalistych szczytów czasem pokryte są lasem jadalnych kasztanów, częściej nagie, najczęściej porośnięte „makia” czyli zbitym gąszczem krzewów przeważnie ciernistych. Poruszać się w makii może tylko ten kto dobrze zna niebezpieczne i mylne ścieżki wijące się w

tych koleczastym morzu. W makii kryli się jeszcze niedawno sprawcy „vendetty” — krwawej zemsty rodowej przetrwanej na Korsyce z okrutną konsekwencją. W czasie ostatniej wojny makia była schronieniem dla partyzantów (stad ich francuska nazwa: „maquis”). W makii zapadli aktualni posiadacze brylantów szwajcarskiej wczasowiczki. Wyjdą, gdy sprawa przycichnie.

Największym i chyba jedynym wrogiem makii jest ogień. Suche chaszcze pełne krzewów obfitujących w żywiczne olejki płoną jak słoma. Zwłaszcza pod koniec lata, gdy nieubłagane, śródziemnomorskie słońce wysysa z ziemi i z roślin ostatki wilgoci, pożogi zdarzają się często i bywają groźne. Pamiętam dobrze taką noc na Korsyce, kiedy ze światłem księżycy rywalizował czerwony blask płonących wzgórz, a z pach dymu niósł się z wiatrem daleko wzdłuż wybrzeża. A był to tylko stosunkowo drobny, lokalny pożar nie wiele znaczący w porównaniu z prawdziwymi katastrofami ogniowymi, nawiedzającymi od czasu do czasu ten piękny kraj.

Dalszy ciąg na str. 4



Zakończona przed kilkoma dniami debata generalna na sesji Narodów Zjednoczonych jest w korespondencjach z Nowego Jorku sumowana w wielu płaszczyznach. A więc korespondenci przypominają, że na sesji spotkali się przedstawiciele 117 krajów, a 101 z nich wzięło udział w dyskusji. Grupują również głosy według poruszonych tematów, wysnuwając generalny wniosek o dużym zróżnicowaniu stanowisk i poglądów.

Jest jednak problem, który w takiej czy innej formie poruszony był przez znaczącą liczbę dyskutantów. I to nie tylko dlatego, że jest zasadniczym w naszych czasach, lecz również dlatego, że o jego istnieniu przypominają rozlegające się w kilku punktach świata detonacje. Oczywiście, chodzi tu o rozbrojenie, a zwłaszcza jego aspekt nuklearny.

Podsumujmy te głosy. Za zwolnieniem światowej konferencji rozbrojenia opowiedziało się otwarcie 38 krajów, za rozszerzeniem układu moskiewskiego także na eksplozję podziemną — 37, za porozumieniem w sprawie nierozpowszechniania broni jądrowej — 43...

Już tylko te Rzeczywistości, jak wiele krajów zainteresowanych jest znalezieniem konstruktywnego rozwiązania problemu rozbrojenia, które pozbiera dziesiątą część ogólnoświatowej produkcji dóbr i usług.

Kiedy jednak większość żąda np. zakazu rozpowszechniania broni nuklearnej — Stany Zjednoczone właśnie znowu przypomniały o swoim projekcie utworzenia sił multilateralnych, który to projekt zwraca sprawę we wręcz przeciwnym kierunku. Tym niebezpieczniejszym, że na jego końcu jest furka do atomowego arsenału dla Niemiec zachodnich.

Wszystko to dzieje się w czasie, kiedy brytyjski minister spraw zagranicznych — Stewart daje pierwszeństwo zakazowi rozpowszechniania broni, a Robert Kennedy krytykuje WSN jako hamulec jakiegokolwiek postępu.

Ze ręką ma brat zamordowanego prezydenta — może świadczyć także wpływ projektu wielostronnych sił nuklearnych na uporządkowanie atlantyckie. Nie przychylił się on do integracji sojuszu, ale jego podziału.

Powszechną uwagę w ostatnich dniach zwrócił artykuł na łamach „Politique Etrangere”, podejmujący sprawy „atlantyckiej” i „europejskiej”. Uznany przez komentatorów jako wyraz stanowiska do Gaulta — przedstawia jakoby model zreformowania NATO.

Nie uświadamiając w szczególności z konieczności upraszczając schemat, model ten byłby następujący: NATO — jako luźny sojusz bez połączenia sił zbrojnych, a jedynie z pewną koordynacją polityki obronnej i sojusz europejski, (a więc bez USA i Kanady) — ze zintegrowaną do pewnego stopnia bronią i wojskami konwencjonalnymi. Rzecz przy tym godna zauważenia — w tym drugim systemie NRF nie mogłaby decydować o użyciu broni atomowej, a jedynie liczyć na taką ochronę.

Model ten — zdaniem autora wspomnianego artykułu — powinien zastąpić istniejący obecnie po wygaśnięciu paktu północno-atlantycznego, co — jak wiadomo — nastąpi w kwietniu 1969 roku.

A więc żadnych wielostronnych, czy też antytrykcyjnych sił nuklearnych, w obecnie proponowanych kształtach, i wycofanie amerykańskich wojsk z Europy!

Nie muszę chyba dodawać, jaką burzę wywołał ten artykuł. Niczego nie przesadzając — musimy przecież zauważyć, że jest to kolejny sygnał, iż Francja wycofa się z NATO po upływie powyższego terminu. Jeśli pałęt nie zostanie zmodyfikowany. A czy bez niej — zważywszy położenie Francji — sojusz miałby w ogóle sens?

Wdalem się jednak o pewne rozważania, a tutaj wydarzenia biegną obok nas...

W Indonezji, gdzie coraz śmielej i niebezpieczniej poczynają sobie armia, w Wietnamie Południowym, skąd dochodzą echa nowych akcji militarnych partyzantów, w Kongu, gdzie zdymisjonowany Crome zapowiada, że nie zrezygnuje z walki politycznej, na Półwyspie Indyjskim, gdzie ciągle otwarty pozostaje problem Kaszmiru, i ostatnio także w Rodezji.

Właśnie o Rodezji chciałbym kilka słów.

Na Benji Wilson (premier W. Brytanii) — Smith (premier Rodezji Półn., 4-milionowego kraju afrykańskiego) trwa duże zdenerwowanie, a jego powody — musimy to przyznać — są uzasadnione. Smith żąda bowiem niepodległości, ale nie dla wszystkich mieszkańców Rodezji, lecz jedynie dla 230 tysięcy białych kolonizatorów, którzy grabią bogactwa naturalne tego kraju, a wobec pracowników ich właścicieli stosują wyuzdane metody segregacji rasowej. Dla nich i nikogo więcej, ponieważ „tubylców trzeba traktować jak dzieci”.

Tymczasem czarni Rodezjczycy dość mają obietnic i nie chcą dłużej czekać, zapowiadają zorganizowanie rządu emigracyjnego, dają do zrozumienia, że chcą za broń.

Jak pociągają się dalsze wypadki — zobaczymy. Na razie odnotujmy zażalenie, że bezradność w tej sprawie polityków brytyjskich i duże zainteresowanie rozwojem sytuacji w krajach afrykańskich, co znalazło swój wyraz na III konferencji szefów państw Organizacji Jedności Afrykańskiej w Akrze.

W. SŁAWSKI

TKronika TYGODNIA

Amerykański senator, demokrat z stanu Ohio, Young oświadczył, iż według posiadanych przez niego informacji amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza popierała na terenie Wietnamu okrucieństwa mające na celu dyskredytowanie sił partyzanckich. Agencja CIA występowała w roli żołnierzy Vietcongu dopuszczając się morderstw i innych aktów przemocy. Senator Young dodał, iż domagać się będzie śledztwa w sprawie działalności CIA.

Co czytają dzieci w Pekinie? Najbliższym powodem u dzieci pekińskich — pisze Agencja Nowych Chin — cieszą się książki o walce rewolucyjnej w kraju i za granicą, książki naukowe oraz wydawnictwa, które uczą jak pisać opowiadania. Jedną z bardziej popularnych wśród najmłodszych pokoleń Chłeczków jest książka „Rozmowa o kompozycji”, która uczy dzieci jak pisać opowiadania i jak analizować utwory swych rówieśników.

Pomoc zagraniczna związana z warunkami, jest niczym truciźna

Czen I, wicepremier i min. spraw zagranicznych CHRL.

Powołane w swoim czasie na Kuby komisje partyjne do walki z biurokracją (wzrost zatrudnienia w okresie powojennym nie w pionie administracji państwowej) przeprowadzają obecnie analizę zatrudnienia we wszystkich większych instytucjach centralnych. W ostatnim tygodniu z dwóch stołecznych urzędów Kuby: Ministerstwa Pracy oraz Krajowej Rady Kultury, skierowano jedną trzecią zatrudnionych do tzw. kół rezerw pracy, skąd jako przekwalifikowani specjaliści zasila kadry fachowców w rolnictwie — odczuwającym od pewnego czasu dotkliwy brak rak roboczych.

W angielskiej audycji radia moskiewskiego podano do wiadomości, iż redakcja posiada wystarczające autorytatywne dowody świadczące o tym, iż brytyjska tajna służba śledcza zamieszana była w słynny napad stulecia na pocąg pocztowy w 1963 roku, podczas którego zrabowano 2,5 miliona funtów szterlingów. Brytyjska służba śledcza — oświadczył komentator radia — organizowała ten napad, ponieważ obawiała się, że z chwilą dojścia do władzy Labour Party, może dojść do drastycznego zmniejszenia jej wydatków. Źródłem tej sensacyjnej wiadomości są niedyskrete jedne z urzędników brytyjskich, którego nazwiska redakcja „w interesie zainteresowanego obecnie nie ujawnia”.

„Zawsze walczyłem przeciwko komunizmowi i nie sądzę, aby ktokolwiek mógł oskarżyć mnie o działalność wywrotową” — oświadczył b. prezydent Brazylii Kubitschek po powrocie z 16-miesięcznego pobytu na emigracji we Francji. Nie upłynęło jednak kilka tygodni, kiedy Kubitschek postawiony został przed oblicze, iż pięciu różnych wojskowo-politycznych komisji śledczych, pod zarzutem „komunistycznej akcji wywrotowej” oraz spowodowania w czasie pełnienia przez niego funkcji prezydenta „infiltracji komunistycznej do administracji państwowej”.

Zdaniem rzecznika partii republikańskiej to co się dzieje obecnie w Kongresie amerykańskim przypomina sytuację, jaka panowała w hitlerowskim Reichstagu. Członkowie Kongresu — stwierdza Taft, pozwalają, aby prezydent Johnson wyreczał ich w myśleniu. Republikański senator obarczył przy tym odpowiedzialnością za „nie moc” Kongresu nie tyle prezydenta USA, co demokratyczną większość amerykańskiego parlamentu.

Amerykańska agencja AP

wolęci byli odpowiedzialni za morderstwa, gwałty, pożogi, kanibalizm, różnego rodzaju okrucieństwa, przerażające jednak jest to, że ich sadyzm w niczym nie ustępuje sadyzmowi ludzi, którzy dzisiaj są odpowiedzialni za zrzucanie bomb napalmowych na dżunglę”.

Na łamach prasy czechosłowackiej ukazał się szereg artykułów krytycznie oceniających sytuację w czasopiśmie kulturalnych i literackich. Z ostrym atakiem na pismo „Tvar” — uchodzące za trybunę młodych literatów, wystąpił dziennik związkowy „Prace”.

Mezyczna apetyt ma od dwunastego roku życia, muskuły od szesnastego, a zasady od ślubu

Winifred Wolfe — pisarza

Dzisiaj wie już każdy — pisze dziennik — iż to pismo nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Duch Heideggera i Jaspersa, duch egzystencjalizmu, duch literatury „nagiego człowieka wśród kosmosu”, to wszystko przecież nie może być stopniem wartości rewolucyjnego i bojowego postępowania, które przed laty doprowadziło nas do zwycięstwa w dziedzinie kultury i polityki.

O Szwedziach zaś skazał wydawcę dziennika „Sydswenska Dagbladet” na 2 tys. dolarów



Eskałacja... (L'Humanite)

donosi z Londynu, iż trzy kraje zachodnie USA, Francja i Anglia podjęły decyzję sprzedaży reaktorów atomowych dla celów pokojowych krajom Europy Wschodniej. Zgodnie z tą decyzją kraj socjalistyczny, który zakupi reaktor, będzie miał również prawo otrzymania dostaw paliwa uranowego oraz innego sprzętu.

Walter Lippmann o amerykańskich doniesieniach prasowych z Wietnamu: „Jedynie ci dziennikarze, którzy dosłownie traktują to co im się mówi na

odszkodowania na rzecz brata tragicznie zmarłego w katastrofie samolotowej w 1961 roku, byłego sekretarza generalnego ONZ Dag Hammarskjölda za opublikowanie artykułu sugerującego, iż śmierć sekretarza generalnego nastąpiła wskutek samobójstwa. Sąd orzekł, że pismo „pogwałtowało pokój należący się zmarłemu”. Sven Hammarskjöld skarżył wydawcę domagając się odszkodowania w wysokości 20 tys. dolarów.

Jak wyeliminować handel z turystyki? Jak doprowadzić

Czytajcie felietony!

Czołowy kucharz warszawskiego tygodnika „Kultura” — KTT, prowadzący osobiste Kuchnię Polską na ostatniej stronie, zachwyca się naszą przedwojenną piosenką, szlagierem z lat trzydziestych. A to dlatego, że była to piosenka realistyczna, człowiek słuchał i od razu wiedział o co chodzi. Bohater takiej piosenki od razu mówił czego chce od swojej partnerki, od jej włosów, a zwłaszcza ciała. Konkret, realizm z krwi i kości. Pani Agnieszka Osiecka powiedziała panu KTT, że w piosence, która zaczyna się od słów — „Kiedy przynikam czy widzę ciebie blisko”, bohaterka marzy o chłopcu, walczącym na terenie Hiszpanii w Brygadach Międzynarodowych. Tak powiedziała sobie pani Osiecka, a KTT uwiarył. I głosi pochwałę zaangażowania w przedwojennych szlagierach.

Jest to stwierdzenie bardzo płodne. Można by na dobrą sprawę otworzyć specjalną placówkę badawczą, przy PAN, albo też Instytucję Badań Literackich, która zajęłaby się zagadnieniem realizmu i zaangażowania w szlagierach okresu międzywojennego. Ileż tu możliwości dla ambitnego naukowca! W znanej piosence prosiła amentika sprzed trzydziestu lat: „Ty mój lew, ty mój grzyb”. Czy to nie będzie przypadkiem wyraz sympatii dla emancypujących się ludów Afryki? Albo inny przykład piosenki nasyconej realizmem i ładunkiem ideowym: „My z Legii, my tułacz, przez los rzuceni na kraj świata, za nami nikt nie płacze, nie mamy brata, ani swata”. Słusznie, że nie macie, wy — uzbójni konduktierzy, najmiłsi kolonialistów! Na tak silny akcent polityczny nie zdobył się ani Młynarski, ani Miller, czy Ur-gacz. „Czy pani mieszka sama, czy

razem z nim” — to może być wyraźna aluzja pod adresem sanacyjnego budownictwa mieszkaniowego. Ja już nie mówię o sławnej illo tempore piosence o prosiłutce, pan KTT także się nią zachwyca, bo ta prostytutka uprawiała swój zawód dobrze, ale miała chłopczyka na Kopernika, co dowodzi, że dziewczęta zmuszone przez system sanacyjny do nierządu marzą o czystej miłości.

Tak więc współczesna piosenka, jak zauważa KTT, jest mdła, pozbawiona realizmu, do kitu. Podobnie programy radiowe i film. Bohaterowie, stworzeni przez dzisiejszych twórców, pisze KTT — „nie mają ochoty zgryzyszyć, oszaleć, zbuntować się, zabić. Normalny człowiek nie ma takiej ochoty, a jeśli ich nie miewa — nie jest normalny”. Nawiasem mówiąc znam kilku normalnych ludzi, ale żaden z nich nie chciał jakoś oszaleć, ani zabić. Mniejsza zresztą o to.

Jak wyjść z tragicznego impasu w jakim znalazła się nasza piosenka, radio, telewizja, czy film? KTT nie odpowiada na te pytania. Nie podaje wzorca bohatera, który byłby normalny, znaczy miał ochotę grzeszyć, wariować i zabijać. Podaje za niego inny czołowy felietonista, pan Kisiel, z innego tygodnika, mianowicie — „Tygodnika Powszechnego”, realizujący przy okazji zasadę — felietoniści wszystkich tygodników, łączcie się.

Zdaniem Kisiele tylko westerny mogą nas uratować. Sam chodzi głównie na westerny, w przebraniu, ponieważ się trochę wstydił. Ale chodzi i wyznaje w tajemnicy, że gdyby miał więcej forsy, gwizdałby na Wildera, O'Neill, Millera i Duerrenmatta, a oglądał tylko złote colty. Właściwie dlaczego?

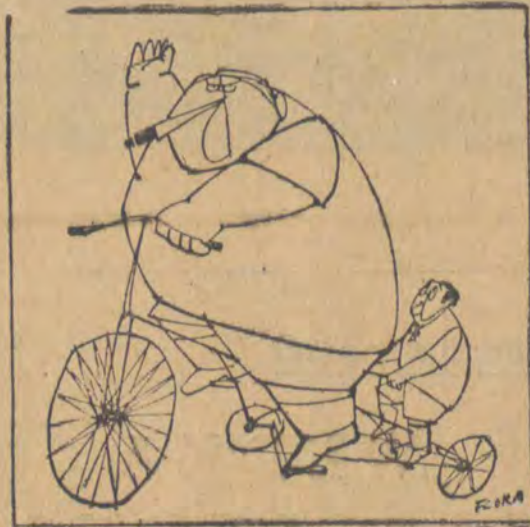
Westerny mają to, o co chodzi obu felietonistom — bohaterów z krwi i kości, grzeszą, kradną, wariują i zabijają od niechcenia. Tyle tylko, że Kisiel znajduje w tym typie sztuki pewną wartość pomianą przez KTT, znajduje bohatera

stwo. Jakże mianowicie? Interesowne. Kisiel pisze: „Osobiście muszę ze wstydem wyznać, że: 1) bardzo lubię pieniądze i przeliczanie wszystkiego na pieniądze, pieniądź to po prostu symbol i wyraz ludzkiego wysiłku, pracy, pomysłowości, twórczości, 2) bardzo lubię enolę wynagrodzenia, enolę, która się opłaca...”

Jesteśmy w domu, już wiemy o co chodzi. Chodzi o kowbojskie bohaterstwo za odpowiednim wynagrodzeniem (ręka uratowanej z rąk bandziorów pięknej Mary plus rancho jej ojca, plus premia jakiegoś towarzystwa budowy czegoś tam). Rzecz prosta, w naszych warunkach pieniądze za bohaterstwo musiałoby chyba wypłacać państwo. Bardzo płod na propozycję. Państwowa Komisja Ektów uruchomił odpowiedni przydział ektów, ektów podzielił się pomiędzy województwa i miasta wydzielone. Obaj felietoniści mogliby zasiadać w jury, przydzielać odpowiednie sumy za określone bohaterstwo. Tego rodzaju motyw bardzo jest filmowy, a i w książkach nie wyglądałby najgorzej. Sądę też, że bardzo by się nam wzbogacił asortyment bohaterstwa, gdyż — to chyba naturalne — leciałyby odpowiednie premie za wynalazczość w tej dziedzinie. Zresztą zasada przeliczania wszystkiego na pieniądze mogłaby objąć nie tylko brak w naszej sztuce, ale i inne dziedzin życia. Ustąpienie miejsca w tramwaju, przeprowadzanie starszych osób na drugą stronę ulicy, opieka nad zwierzętami, działalność we Francji. Jedności Narodu — to wszystko nie było jeszcze przeliczane na pieniądze.

Tak więc, co jeden felietonista zaczął — drugi dokończył. Czytajcie, towarzysze, felietonistów, a będziecie zbażeni.

hierogaryshyid



W NRF po wyborach: Jak dawniej (Die Zeit)

oficjalnych odprawach, informują nas, że wygrywamy wojnę”.

Zaskoczeni zapewne musicie być, że autorzy programu teatralnego, który przygotowali do wystawiania na jednej z nowojorskich scen sztuk „Śmierć Dantego”, dowiedziawszy się, iż artykuł ich ukazał się w wersji o półw skróconej, Sztuka „Śmierć Dantego” poświęcona wydarzeniom Rewolucji Francuskiej ostro atakuje tyranię i stosunki oparte na przemocy. Autorzy programu relacjonując idee sztuki tu i ówdzie nawiązywali do zdarzeń współczesnych. Aktualizując fragmenty artykułu padły właśnie ofiarą nożyc cenzorskich. Oto niektóre wykreślone z artykułu passusy: „Terror we dług Robespiera, Verwoerda, i prezydenta Johnsona jest działaniem moralnie usprawiedliwionym”.

„Bohaterowie Francuskiej Re-

do tego, aby turyści wyjeżdżający np. do Austrii oglądali przede wszystkim operę, a nie „urzędowali” na bazarze. Nad pytaniami tymi zastanawia się węgierski tygodnik społeczno-gospodarczy „Figyelő”. Turyści węgierscy przywieźli w roku 1964 z zagranicy towarów na sumę 3,7 miliarda forintów. 1,5 miliarda forintów stanowi wartość towarów przywiezionych z krajów socjalistycznych, 1,8 miliarda forintów z krajów kapitalistycznych. Ten turystyczny ruch handlowy warunkowany jest zdaniem tygodnika w znacznej mierze różnicą poziomu cen na różne towary w poszczególnych krajach. Pismo zaleca tedy rozważenie konieczności importu przez państwo niektórych deficytowych artykułów, dzięki czemu „Węgrzy nie będą dźwigali z zagranicy pełnych piecaków, lecz będą uprawiali turystykę w najbliższym tego słowa znaczeniu”.

KOMU KLUCZE DO MIESZKANIA?

Dalszy ciąg ze str. 1

rać. Od myślenia jest państwo, które mnie przeprowadzi przez całe życie za rączkę jak niemowlaka. Poziewam, zdrzemnę się nieco, jak się obudzę, to ci na górce wręczę mi z ukłonem klucze do apartamentu.

Przyzwyczajanie się do darochy, to rodzaj choroby.

Niebezpiecznej, która niesie w sobie immanentne zło. Groźne wyłączenie z ludzkiej działalności potężnego koła zamachowego, jakim jest zdrowa ambicja. Jak się cel w życiu, dążenie do czegoś, co można zdobyć tylko własnym wysiłkiem. Darmo cha rozdęta poza przyzwyczajenie demoralizuje. Ma w sobie element destrukcji, podkopuje siły twórcze. Minęło, przebrzmiało. Lecz bardziej na siebie, młody człowieku.

Zaufaj sobie, oszczędzaj!

Ekonomiści nigdy co do tego nie żyli w wątpliwości. Naród przekracza próg nowoczesności w momencie, gdy mniej konsumuje niż wytwarza. Jednostka gdy mniej przepuszcza niż zarabia. Czy mamy ten próg za sobą? Pewien łódzki satyryk napisał przed laty. — Ona miała wiele cnót, jedna cnota miała wprzód... — Możliwe, nie wiem. Natomiast wiem z całą pewnością, że oszczędzanie jest też cnotą. I to szczerą. Nie wolno jej utracić. Zwłaszcza jeśli ktokolwiek marzy o własnych czterech ścianach. Czy staliśmy się więc jak Czesi narodem nowoczesnym, przeto zimnym, spokojnym, zawsze z tabliczką mnożenia w głowie? Czy oszczędzamy? Pozwól sobie przytoczyć tabelę średnich wkładów oszczędnościowych na jednego mieszkańca w różnych rejonach kraju. Nawy miast należy rozumieć szerzej, więc w połączeniu z województwem.

Tabela jest sporządzona na podstawie danych z końca czerwca bieżącego roku:

— Warszawa	— 1.927 złotych
— Gdansk	— 1.876 złotych
— Wrocław	— 1.493 złotych
— Szczecin	— 1.434 złotych
— Katowice	— 1.361 złotych
— Opole	— 1.121 złotych
— Olsztyn	— 1.120 złotych
— Poznań	— 1.116 złotych
— Koszalin	— 1.093 złotych
— Kraków	— 1.091 złotych
— Łódź	— 1.019 złotych

Prawda, że zdumiewa dalekie miejsce znanych z gospodarności poznaniaków i do brze zarabiających katowiczów? Jeszcze bardziej zaskakuje dominująca pozycja województwa zachodnich. Gdansk, Szczecin, zgoda, ale żeby Koszalin wyprzedził Kraków, Olsztyn, Łódź? Bo Warszawa to zupełnie inna sprawa, wiadomo Warszawa... Niektórzy korespondenci pism zachodnich utrzymują, że na Ziemiach Zachodnich wykształca się nowy typ Polaka. Jest to

człowiek praktyczny o dużej energii i życiowej zaradności.

Czyżby mieli rację?

Łódź zajęła dopiero II miejsce. Powodów do radości nie ma. Do zbytnich załów również brak podstaw. Ostatecznie województwo łódzkie, to przemysł lekki, w którym zarabia się niewiele. W Łodzi zaczynało przy tym od punktu prawie zerowego. Kiedy kilka lat temu padła propozycja, by wypłaty z funduszu zakładowego odpisywać tkaczom i przadkom na książeczki PKO, odezwały się głosy. — Po co ta kłopotliwa? Po kiego licha robota dla roboty? Przecież dzisiaj wpisze się to na książeczkę, a jutro przadka i tak wyjmie... Nie takiego nie nastąpiło. Przynajmniej nie uwidoczniło się w skali masowej. 73 procent wydanych książeczek egzystuje. Niektóre peczenia.

Dla lepszego zobrazowania sytuacji chciałbym się jeszcze posłużyć tabelką województwa łódzkiego.

Tabela podaje średni wkład na głowę mieszkańca niektórych miast i powiatów:

— Łódź	— 2.368 złotych
— Pabianice	— 1.669 złotych
— Zdunsko Wola	— 1.570 złotych
— Tomaszów	— 1.237 złotych
— Zgierz	— 1.153 złotych
— Pow. piotrkowski	— 726 złotych
— Pow. bełchatowski	— 138 złotych

Tak więc średni wkład na głowę łódzianina jest już stosunkowo wysoki — 2.368 złotych. Sama Łódź wyprzedzała się pod tym względem na jedną z najbardziej eksponowanych pozycji w kraju. W dół po statystycznej drabinie ciągnie Łódź wła-

deaprobata. — Przesadzasz Braciszku, widziałem Niemców przez różowe okulary. A ja widziałem Niemców przez francuskie okulary. Wszystko co Niemcy mają dobrego — jak to niegdyś trafnie określono — wszystko to wzięli od Francuzów. Mało kto zdaje sobie tu sprawę, jak ścisłą franki Francuzi. To rzecz dla nas niepojęta, nieprawdopodobna. Albo Belgowie, Szwajcarzy. Szkoci... Te narody mają pewien wspólny rys. Wściekle oszczędzają.

Myśmy jeszcze nie tak dawno spoglądali z pogardą na drobniomieszczańskich ciuła-

czy. I teraz trzeba zaczynać ab ovo, od jajka, od abecadła. Trzeba paździenikowych akcji, premii, zachęty, trzeba bicia w dzwo ny. Obywatele nie szastają groszem, czasy nie te, tak nie wolno, bo nie z takimi nosami jak my obwagać groźną na wszystkie strony. Ta dygresja jest mi potrzebna. Chciałbym na jednym przykładzie wykazać, że tam oszczędzać musis, innego wyjścia nie ma. Mam przed sobą poważny dziennik paryski „Le Figaro” z 6 października br. Wewnątrz numeru kobylaste ogłoszenie. — Cherchez vous un appartement de 2 pièces à Paris? — Czy pan szuka 2-pokojowego mieszkania w Paryżu? Pod ogłoszeniem duży plan mieszkania. Pod rysunkiem cena. Mieszkanie obejmujące 41 m² plus 9 m² tak zwanej loggii kosztuje 96 000 franków gotówką. Można je również nabyć w 150 ratach miesięcznych po 792 franki. Dodam, że 96 000 to gdzieś 18 000 dolarów, a średni miesięczny zarobek w Paryżu raczej nie przekracza 900 franków. Francuz oszczędza jak szalony. Co ma robić? Musi.

Jaka jest cena mieszkań w Łodzi?

Metr kw. powierzchni mieszkalnej w spół



nie teren, więc województwo, wszystkie te miasteczka z przyległościami. Łódzianie zabrali już na książeczkach PKO miliard 700 milionów złotych. Szybkim krokiem zbliżają się do 2 miliardów. To już kwota budząca szacunek. Stoi blisko braci Czechów, ale jesteśmy dopiero w połowie drogi do Niemców.

Opowiadałem znajomym, jak oszczędza się w Berlinie.

Spojrzel z kpiną. Potem orzekli nie bez

dzielnym bloku kosztuje około 2 tysięcy złotych. Dużo czy mało? To oczywiście zależy od kieszeni. Nie wydaje się jednak, by cena była wygórowana. W porównaniu do innych krajów jest raczej umiarkowana. Nawet niska. To jeden pewnik. Drugim, najbardziej pocieszającym jest, że drogę do mieszkań wyprostowano. Zadnych wyjątków i labiryntowych zakrętów. Na tę drogę może wstąpić każdy, kto umie planować na przyszłość i nie żyje tylko dniem.

dzisiejszym. Nim jednak zapali się zielone światło obowiązują pewien staż.

Jest to okres kandydacki.

Kandyduje się z książeczką mieszkaniową w kieszeni. Inaczej już nie można. Na członka spółdzielni kandyduje się lat kilka. Przez ten czas należy wpłacać po 100 złotych miesięcznie. Wprowadzono też przy wileje, gwarancje, dodatkowe premie i odsetki. Młody człowiek, który wpłaca po 100 złotych miesięcznie ma po 4 latach na swym koncie 4.800 złotych. PKO tytułem premii specjalnej dopisuje za swej strony jeszcze 2.400 złotych. Dochodzi jeszcze 300 złotych normalnych odsetek tak, że łącznie suma urasta do 7.500 złotych. To już jest coś. Do każdego 100 złotych państwo donisuje ci 50 złotych.

Słychać, że z tej sposobności skorzystało już 100 000 Polaków. Wszyscy uzyskali już mieszkania. Otwieranie nowych książeczek mieszkaniowych rozwija się nadal. W niektórych miastach na kształt lawiny. Jak zwykle pierwsi połapali się skąd wzięły arcybystry warszawiacy. Ponoć założyli już 40 000 książeczek mieszkaniowych. Już w pierwszym impecie nobili wszystkie inne ośrodki w kraju na głowę.

Łódź również nobili, jeszcze jak.

Mieszkańcy Łodzi założyli 9.000 książeczek mieszkaniowych. Wkład na tych książeczkach sięga 42 milionów złotych. Przypominam, że łączna suma wkładów oszczędnościowych zbliża się do 2 miliardów. Te fakty są zdumiewające. Zestawienie prawie 2 miliardów z 42 milionami nie może nie zmusić do zadumy. Czyżbyśmy już wszyscy mieszkali dostatecznie wygodnie? Tu się dzieje coś złe. Coś nie tak jak trzeba. Na co czekała te miliardy jeśli nie czekała na mieszkania?

Czemu rodzice otworzyli w Łodzi dla swych dorastających dzieci zaledwie 76 książeczek mieszkaniowych?

Profesor jednej z wyższych uczelni w Londynie odpowiadał z bliskim w oku, że nareszcie dopiął swego. Wprowadza się właśnie do nowego mieszkania. Harował, skąpił, dorabiał wieczornymi wykładami, pracował podczas wakacji. Gromadził fundy. Latami. Stał wreszcie u mety. Jest w domu. Kupił olejne farby, jeszcze dziś wymaluje narkan, jutro weźmie się za tapetowanie pokoju. Sam to robi. Po angielsku. Przecież nie jest inwalidą, żeby tego nie mógł zrobić sam. Zresztą ci przekleci rzemieślnicy ceną się bardziej niż lekarze.

Wciąż wracam do tego watku, bo nas Polaków. Zachód zaskakuje, jest w pewnej mierze niezrozumiały. To przezwalać się jeźdźnią bogactwo, to wytrzymać szesmy i to cholernie oszczędzanie na wszystkich granicach z molierowskim skąpstwem. Zaplanowane z premiedytacją skąpstwo. Na zimno. Tam nikt ci nie zaprosi do restauracji, nikt ci nie postawi kilkuszylingowego drinka. Nikt nie powie — oby się nam dobrze działo! W domu poczeszusia cienka herbatka, herbatnikiem na przekaskę. I obliż się smakiem. To zmusza do refleksji. Oszczędni, że bogaci, czy bogaci, że oszczędni?

Nie sądzę jednak, by ten model życia miał nam kiedykolwiek odpowiadać.

Ala wyrzeczenie się 100 złotych miesięcznie nie grozi chyba unicestwieniem narodowych tradycji i narodowego charakteru? Zostawiać całą tę kwestię na boku i nie eksponować? Bo drażliwa, bo zmusza ludzi do ważenia złotych w ręku? Ależ to byłoby nonsens. Nad tą sprawą nie wolno przejść do porządku dziennego. Stała się po woli problemem o rozstrzygnięciu doniosłości. Droga do mieszkania jest prosta jak drut. By trafić do celu nie trzeba żadnej nitki Ariadny ani żadnej innej nitki z łódzkiej fabryki. Trzeba tylko powziąć decyzję.

Tak czy owak swoją żrądkę lepiej ti prawić samemu — nikt tego lepiej za nas nie zrobi. Na prezent lepiej nie liczyć — prezenty były, ale sobie poszły.

JAN BABIŃSKI

Rada Naukowa i jej problemy

Redakcja naszego tygodnika zwróciła się do Przewodniczącego Rady Naukowej działającej przy Prezydium WRN, prof. dr Józefa Straszewicza z prośbą o udzielenie informacji na temat pracy i zamierzeń Rady.

ODGŁOSY: Kiedy i w jakim celu powołana została Rada Naukowa?

PROF. DR STRASZEWICZ: Rada Naukowa istnieje w zasadzie we wszystkich województwach, z tym jednak, że początkowo powołano je jako Rady Naukowe Ekonomiczne przy Wojewódzkich Komisjach Planowania Gospodarczego. W woj. łódzkim Rada Naukowa Ekonomiczna powstała w 1955 roku, liczyła 21 członków, a jej przewodniczącym był dr Jerzy Rachwański.

W 1962 roku Prezydium WRN postanowiło, co było wyrazem uznania dla tego organu, podnieść rangę Rady przemianowując ją na Radę Naukową przy Prezydium WRN. W obecnym swym składzie Rada Naukowa posiada 32 członków reprezentujących Uniwersytet Łódzki, Politechnikę Łódzką, Akademię Medyczną, SGGW w Warszawie, Instytut Naukowy, instytucje i urzędy państwowe. Członkowie Rady reprezentują różnorodnie specjalności naukowe. Obok ekonomistów zasiadają w niej geografowie, socjologowie, historycy, lekarze, inżynierowie, specjaliści w zakresie rolnictwa. Rada Naukowa jest organem doradczym Prezydium WRN. Zada-

niami jej jest inicjowanie prac badawczych, naukowo-technicznych w zakresie wojewódzkim, następnie zaś opiniowanie zamierzeń organizacyjnych i ekonomiczno-technicznych dla potrzeb planowania gospodarczego oraz realizacja współpracy z uczelniami i instytucjami naukowo-badawczymi.

ODGŁOSY: Czy można Pana prosić o omówienie dotychczasowej działalności Rady Naukowej?

PROF. DR STRASZEWICZ: Zajmowaliśmy się w dość szerokim, jak na nasze możliwości kadrowe, zakresie sprawami bełchatowskimi wówczas, kiedy były one powszechnie dyskutowane. Nasz wkład polegał na koordynowaniu wysiłków badawczych podejmowanych przez Uniwersytet Łódzki z pracą i zamierzeniami Prezydium Rady Narodowej.

Dyskutowaliśmy kilkakrotnie sprawy planów gospodarczych woj. łódzkiego, a w szczególności interesowaliśmy się planami perspektywicznymi.

Odbyliśmy przy współudziale KW PZPR sesję naukową na temat rozwoju przemysłu w woj. łódzkim w okresie ubiegłego dwudziestolecia. Było to kolektynna próba oceny naszych dokonań i wyciągnięcia wniosków ośrodku perspektyw rozwoju woj. łódzkiego regionu. Obrady prowadzone w dość szerokim gronie naukowców, polityków, działaczy gospodarczych pozwoliły na problem ekonomicznego rozwoju Ziemi Łódz-

kiej spojrzeć w jakiejś bardziej generalnej perspektywie. Planujemy w przyszłości zająć się więcej niż dotychczas problemem małych miasteczek, ich aktywizacją, szansą awansu.

Oczywiście naszej pracy nie wyczerpują te zasadnicze inicjatywy i opracowania tematów o podstawowym charakterze. Wiele spraw rozstrzygają poszczególni członkowie Rady w swoich bieżących kontaktach z odpowiednimi agendami administracji wojewódzkiej. Szerzej zatem spraw nie przechodzi bezpośrednio przez ręce Prezydium Rady.

ODGŁOSY: Jakże urzędy bądź instytucje podległe Prezydium Rady Narodowej należące do zwierzchności o pomoc do Rady Naukowej?

PROF. DR STRASZEWICZ: Najżywszy kontakt z Radą Naukową utrzymuje Wojewódzki Urząd Statystyczny. Jego kierownictwo zwraca się do nas o oceny istniejących opracowań rocznika statystycznego, o sugestie co do jego układu i merytorycznej zawartości planowanych wydań.

Niemniej bliskie więzy łączą nas z Wojewódzką Komisją Planowania Gospodarczego i z Pracownią Planowania Regionalnego, które często korzystają ze współpracy z członkami naszej Rady. Stały kontakt utrzymują z Wydziałem Rolnictwa i Leśnictwa Prez. WRN, który b. często bezpośrednio zwraca się z propozycjami opracowania nowych specjalistycznych tematów.

ODGŁOSY: Czy Pan jako przewodniczący Rady Naukowej tłumaczy fakt, iż poza tymi instytucjami inne wydziały Rady Narodowej nie zainteresowały się możliwością współpracy z Radą Naukową?

PROF. DR STRASZEWICZ: Przyczyn tego stanu upatruję między innymi w tym, iż w wielu naszych instytucjach istnieje wieczna gonitwa za dniem dzisiejszym. Niektóre urzę-

dy często nie rozumieją, a być może nie słyszą je w nawałe bieżącej pracy, na takie rozumienie, że odwrócenie się od codziennych kłopotów i znalezienie czasu na przedyskutowanie pewnych podstawowych spraw w szerszym, kompetentnym gronie ludzi ma istotne znaczenie dla danego urzędu czy instytucji. Wiele instytucji być może nie zdaje sobie jeszcze w pełni sprawy z możliwości współpracy z nauką, w konkretnym wypadku z Radą, którą tu reprezentuję. Jestem jednak optymistą. Sądzę, że z biegiem czasu kontakty pracowników nauki z praktykami ożywią się, że zapanuje zrozumienie, iż współpraca z nami daje odpowiednie korzyści.

ODGŁOSY: Jak wygląda dorobek łódzkiej Rady Naukowej na tle innych rad tego typu w kraju?

PROF. DR STRASZEWICZ: Formalnie Rady Naukowe powołane zostały we wszystkich województwach. Faktycznie zaś istnieją tylko w niektórych, w pozostałych natomiast nie przejawiają niemal żadnej działalności. Mówiąc więc o łódzkiej Radzie Naukowej należy ją rozpatrywać w tym właśnie układzie. Nasza Rada Naukowa z pewnością nie zrobiła wszystkiego, co można było zrobić, jednakże może się wykazać już pewnym dorobkiem stawiającym ją na pierwszym miejscu w kraju. Za dużą zasługę Rady poczytuję skupienie grona naukowców i zainteresowanie go problematyką regionalną, nawiązanie kontaktu między ośrodkami naukowymi, a władzami wojewódzkimi. Łódzcy pracownicy nauki mają w swym dorobku szereg prac naukowych, tematycznie związanych się z Ziemią Łódzką.

Nieco większą aktywność przejawia Rada Naukowa w Opolu, której również mam zaszczyt przewodniczyć. Jednak Opole jest ośrodkiem szczególnie, Miasto nie jest ośrodkiem uniwersyteckim. Sądzę, że prawdo-

podobnie bierze się owe żywe zainteresowanie środowiska pracą Rady. Dużą pomocą w działalności opolskiej Rady Narodowej stanowi istniejący tam regionalny Instytut Naukowy. W naszych łódzkich warunkach trudno oczywiście byłoby mówić o powołaniu podobnego instytutu, za- stanawiam się jednak czy nie należałoby rozważyć możliwości powołania przy naszej Radzie Naukowej jakiejś niewielkiej kilkusobowej placówki spełniającej funkcję ośrodka badań regionalnych.

ODGŁOSY: Jeden z punktów regulaminu Rady Naukowej mówi, iż organ ten winien prowadzić działalność popularyzującą problematykę gospodarczą i kulturalną województwa łódzkiego. Co w tym zakresie zrobiono?

PROF. DR STRASZEWICZ: Opublikowaliśmy techniką powielaczową materiały z sesji poświęconej łódzkiemu dwudziestolciu, publikujemy biuletyn z działalności Rady Naukowej, ostatnio zaś nakładem Rady Naukowej ukazał się Atlas Województwa Łódzkiego w moim opracowaniu. Podobny charakter posiada Atlas Województwa Opolskiego, którego również jestem autorem. Są to w tej chwili jedyne o takim charakterze publikacje nie tylko w Polsce, ale i w krajach socjalistycznych.

Pragniemy wydawać rocznik naukowy, który nawiązywałby do dobrej tradycji Łódzkiego Czasopisma Gospodarczego. W tej sprawie mamy żywcie poparcie miejscowych władz.

Myślami również o wydawnictwie, które byłoby wydawnictwem ciągłym, ale nie periodycznym. Na łamach tego wydawnictwa można byłoby zamieszczać publikacje o szerokim wachlarzu tematycznym z terenu Ziemi Łódzkiej.

Rozmawiał: ZBIGNIEW FALIŃSKI

Skoro już mam z tego miejsca omawiać przejawy studenckiego żywota, nie wypadłoby zupełnie nie zająć się plenarnym zebra-
niem RU ZSP na uniwersytecie. Co prawda strasznie nie lubię wszelkich nawiązań, lecz jak to się zwykło mawiać — siła wyższa! Zebranie, okazało się ciekawe. Między innymi dokonano, jak to przed nadchodzącym kongresem należało, podsumowania dotychczasowej działalności. Wiele przy tej okazji mówiono o spra-
wach nauki, a szczególnie o kolach naukowych. Okazało się, że jest ich w Łodzi aż siedemnaście. Zajmują się, każde w swojej dziedzinie, ważnymi pracami. Socjologowie na przykład, etnogra-
fowie i ekonomiści w ramach współpracy z zakładami w Bel-
chatowie przeprowadzili nadzwyczaj cenne badania. Brawo!

Przy lekturze pamiętników co wybitniejszych przedstawicieli naszej literatury, w części dotyczącej studiów znajdziemy na pew-
no wzmianki o takich czy innych, lepszych czy gorszych pismach studenckich. U nas nie. Co prawda poszczególne lata filologii polskiej wydają, w jednym przeważnie egzemplarzu swoje pry-
watne pisma, lecz jak wskazuje nakład, zasięg mają raczej ogra-
niczony. Tymczasem bez wątpienia przydałoby się jakieś czasopi-
smo, w którym wybijające się prace znalazłyby druk. Sama se-
minaria, to jednak jeszcze nie wszystko. Czytelnicy wybaczają mi, że już zupełnie pominięto milczenie fakt, iż od przeszło roku słyszę o jedynym literackim tygodniku polonistów. „Festina lente” — mawiali Rzymianie — spiesz się powoli.

Skoro już raz zająłem się sprawami uniwersytetu, odwiedziłem także STUL, czyli Studencki Teatr UL. Przed wakacjami program „Chowając w sercach obraz poległych...” był atrakcją Festiwalu w Gliwicach. Rzecz jasna, ciekaw byłym, co nowego szykuje ten niewielki, ale sympatyczny zespół.

Teatr ma siedzibę w II DS UL. Niewielka sala, praktycznie rzecz biorąc, bez żadnej sceny, a w dodatku na samym środku — cztery grube filary.

— To wy tutaj występujecie?
— Jak widzisz.

Reżyser teatru, Marian Glinkowski, od dłuższego już czasu biega w poszukiwaniu czegoś lepszego nadającego się do pracy. Obiecano mu jakąś salę na ul. Północnej, czy Zachodniej. Wydaje mi się, że o wiele praktyczniejsza byłaby lokalizacja zespołu, tak jak dotychczas, w Osiedlu Uniwersyteckim. Poza kinem Studio, gdzie nawiasem mówiąc, program nie jest zbyt rewelacyjny, nie ma tu żadnej innej placówki kulturalnej. (Dwa kluby organizują przede wszystkim wieczorki taneczne.) Nie ma też nic w pobliżu, tymczasem do miasta kawałek drogi. Znajdzie się chyba odpowiednia sala, trzeba tylko poruszać głową.

Nie zaliczam się bynajmniej do znawców muzyki poważnej. Lu-
bie jej jednak posłuchać. Zwłaszcza w dobrym wykonaniu. Takim wykonawcą jest p. Norbert Karaśkiewicz, dyrektor S.P.A. Miałem okazję posłuchać jego gry w czasie tradycyjnego już pod „siódmkami” Południa Muzycznego. Jeśli jednak wykonawca do-
starczył mi wielu wrażeń, to sala napeliła mnie zdumieniem. Była pusta! Na 68 z kolei spotkanie z muzyką przyszło zaledwie około 20 (słownie: dwadzieścia) osób. Przypomniał mi się okres sprzed trzech lat, gdy Południa były swego rodzaju nowym, nie-
atrakcyjnym i mało popularnym. Przecież jednak klubowi bywalcy przekonali się do tych spotkań i aż do czerwca tego roku miały one nadkumple. Co sprawiło tak radykalną zmianę? W Filharmonii bynajmniej nie widać wielu nowych twarzy. Jeśli zaś chodzi o jakość koncertów, to jest lepsza niż dotychczas. Może więc wprowadzone ostatnio karnety klubowe? Zobaczymy, co pokaże przyszłość.

Na zakończenie chciałbym przypomnieć nieco już odległą w cza-
sie inaugurację roku akademickiego w PWSTiF. Sama inaugura-
cja była może nieco długa, ale za to na zakończenie mogliśmy oglądać prace dyplomową studentów Wydz. Aktorskiego, czyli mó-
wić proszę! „Fircyka w zalotach”. Dzisiaj już niebyłoby często możemy oglądać te sztukę na scenach, a przecież nie straciła nic ze swego wdzięku. Daje przy tym okazję adeptom sztuki dra-
matycznej do rozwinięcia własnej inwencji. Wszyscy, trzeba to przyznać, wykorzystali okazję sumiennie.

Premierę „Fircyka” przygotowano w połączeniu z obchodami 200-lecia istnienia sceny polskiej. Temu też tematowi poświęcono był wykład inauguracyjny dziekan H. Małkowskiej. Przypadła, ucieczyłem się do faktów, że są w Łodzi ludzie, którzy pa-
miętają o tej ważnej rocznicy. Teatry łódzkie jakoś nie zapowia-
dają żadnych w tym kierunku poczyni. A co teatry studenckie? Nadarza się niebawem okazja do przypomnienia publiczności ca-
łej seriali znakomitych tekstów. Warto pomyśleć. Zresztą, myśle-
nie ma podobno przed sobą znakomitą przyszłość. Wszystkim zaś gorąco polecam „Fircyka”. Naprawdę warto zobaczyć.

L. R.

„WĘDKA NAPOLEONA”

Dalszy ciąg
ze str. 1

Górom towarzyszy morze. Tysiącem zatok i zatoczek wleśka się w skaliste brzo-
gi. Równą linią białych pian pod-
kreśla granicę nieczystych plaż
piaszczystych. I co to jest za
morze? Jego skrzacz błąkał
(jakże różny od chłodnej zie-
leni Bałtyku) przedziwnie har-
monizuje z czerwienią porfi-
rów, bielą wapieni, szarością
granitów. Ciepłe, słone i prze-
ryste fale lekko unoszą pły-
waka. — Można w nich prze-
bywać godzinami, śledząc
własny chybliwy cień sunący
głęboko w dół po pia-
szczystym dnie.

Te właśnie walory wód kor-
sykańskich sprzyjają łowom
podmorskim, galezi spor-
tu bardzo popularnej na
południu Europy. W za-
toce Ajaccio raz po raz
mogłoby obserwować plet-
nurków różnej kategorii, roz-
maicie wyekwipowanych. Ry-
by i ośmiornice często padają
tu ofiarą podwodnych strzelb
i pistoletów wyrzucających
harpunowate pociski.

Ale nie tylko wodnej zwie-
rzozy szukać można w Morzu
Śródziemnym. Jego wybrzeża
nie na próżno były od tysięcy
lat widownią doniosłych wy-
darzeń dziejowych. Wzrastały
tu i ginęły wielkie cywiliza-
cje. Wśród wysp, wokół przy-
lądów żeglowały (i tonęły!)
galery fenickie, greckie, etru-
skie, kartagińskie, rzymskie.
Toteż nie dziwnego, że gazu-
ty i tygodniki raz po raz do-
noszą o poczynionych na dnie
morskim odkryciach, o odna-
leżonych wrakach starożyt-
nych okrętów, o wyłowieniu
z głębin pradawnych naczyn,
narzędzi, ozdób i broni. Po-
szukiwania podwodne stają
się ważną formą badań
archeologicznych.

Chłodne i niezbyt przejrzyste
morza i jeziora północy
za natury rzeczy mniej sprzy-
jają pracy nurka-archeologa.
Ale sprawiedliwość nakazuje
przyznać, że coraz częściej
także i w tych stronach eki-
py badawcze penetrują dno
ziorników wodnych. I to z
jakim skutkiem! Któż nie sły-
szał o niedawnym odnalezie-
niu i wydobyciu pod Sztok-
holmem szczątków „Wazy” —
szwedzkiego okrętu z XVII w.
Mało kto jednak wie o pol-

skim dorobku w dziedzinie
podwodnej archeologii, choć
już parę dziesiątków lat mija
od chwili, w której nurkowie
Marynarki Wojennej zanurzy-
li się po raz pierwszy w fale
Jeziora Biskupińskiego, śledząc
niewidoczne ponad wodą sze-
gół umocnień otaczających
tamtejszy słynny gród z po-
ło-
wy I tysiąclecia p.n.e. Oczy-
wiście byli to nurkowie kla-
syczni, w ciężkich skafan-
drach, oddychający powie-
trzem tłoczonym z powierzchni
ni. Tacy sami klasyczni nur-
kowie szukali już po wojnie
pozostałości wczesnośrednio-
wiecznego mostu na Dziwnie,
mostu łączącego ze stałym lą-
dem wyspę i wyspiarskie mia-
sto Wolin. Ale potem przyszły
czasy pletwonurków.

Pierwsi nasi władcy z dyna-
stii nazwanej później Pia-
stami, posiadali kilka ulubio-
nych, stołecznych siedzib.
Większość z nich do dnia dz-
isiejszego figuruje na mapie
Polski jako znaczne, nawet
bardzo znaczne miasta: Gniez-
no, Poznań, Kraków. Nie
wszystkie. Po murowanej re-
zydencji książęcej na wyspie
Jeziora Lednickiego pozostały
tylko szanowne ruiny. Roman-
tycznie i malowniczo poło-
żone, otoczone wałami potęż-
nego grodziska od dawna przy-
ciągały uwagę historyków,
archeologów, literatów. Kra-
szewski fantazjował na ich
temat w „Starej Baśni”. Po-
tem kopali tam rozmaici mi-
łośnicy „starożytności krajo-
wych” z bardzo różnym sku-
tkiem. Dopiero w powojen-
nym, zbliżającym się już do
schyłku okresie badań milie-
niowych, w wielkim okresie
archeologii polskiej zajęto się
Ostrowem Lednickim bardziej
serio. Nie poprzestano przy-
tym na normalnych, „ziem-
nych” pracach wykopalisko-
wych. Ekipa pletwonurków
zaczęła przeszukiwać dno je-
ziora i doszukała się śladów
po drewnianym moście, który
przed wiekami łączył wyspę
ze stałym lądem, zapewniając
komunikację Lednicy z Gnie-
nem i Poznaniem. Most ten
został przed wiekami zniszczo-
ny pożarem. Stosy zwęglonych
bierwion runęły kiedyś w wo-
dę i ugrzęzły w mule przy-
dennym przykrywając niżej
położoną warstwę pełną wio-
rów i okrzesków drewna nie
spalonego. W warstwie dol-
nej, tej bez spalenizny zna-
lezione kilka cieniutkich
siekiei, zgubionych w cza-
sie budowy. Warstwa górna,
pożarowa, dostarczyła innych,
jakże wymownych znalezisk:
helm, miecz, groty włóczni,
żelazce bojowych toporów...
Nietrudno wyobrazić sobie
groźną chwilę, gdy na pływ-
nym moście toczył się bój mię-
dzy tymi co bronili wyspy,
a tymi co chcieli się na nią
przedostać.

„W owym czasie Czesi zni-
szyli Gniezno i Poznań i

uwieźli ciało świętego Woj-
ciecha” pisze Gall o złych la-
tach 1038—1039, o latach w
których monarchia piastow-
ska osłabiona walkami we-
wnętrznymi stała się łatwym
łupem dla zabobnych sasia-
dów. Czeski kronikarz Kos-
mas mówi jak to Brzetysław
Przemysłyda „pociągnął do zie-
mi polskiej pozabawionej swe-
go księcia... a jako gwał-
towna burza szaleje, hula i
wszystko rozgromia, tak i on
niszczył wszystko mordem,
grabieżą i pożogą... zdobywał
grody... ponadto zagarnął i
niezmierne mnóstwo złota i
srebra, odwieczne skarby zło-
żone w skarbcu przez dawniej-
szych władców...”

Początki Brzetysława, mo-
głyby się nam jakoś skojarzyć
z nocną wizytą korsykańskich
gości w willi szwajcarskiej let-
niczki. Istota rzeczy ta sama
tylko skala inna. Bądźmy je-
nak sprawiedliwi i pamiętaj-
my iż owi „dawniejsi władcy”
napelniający skarbiec gnie-
nieński to przede wszystkim
Bolesław Chrobry zdobywca
i łupieżca Pragi i Kijowa.
Brzetysław mógł traktować
swą wyprawę polską jako re-
windykację, a że przy tym

do komory Przemysłydów po-
wędrował pośrednio także i
majątek Rurikowiczów, to
już trudno. W końcu, jeśli
wierzyć legendzie o Lechu,
Czechu i Rusie i tak wszyst-
ko zostało w rodzinie.

Pozostawmy jednak żarty.
Wiele zdaje się wskazywać,
iż katastrofa lednickiego mo-
stu odpowiada czasem we-
wnętrznym walk i Brzetysła-
wowskiemu najazdowi. Gdyby tak
było, podwodnym badaniom
zawdzięczałbyśmy szczególnie
przekonującą ilustrację dra-
matycznych zdarzeń, które
monarchię piastowską dopro-
wadziły do krawędzi ostatecz-
nego upadku. Czas pokaże o-
ile te domysły są słuszne,
ale już teraz jedno jest pew-
ne: nasze rzeki, nasze jeziora,
Bałtyk wreszcie, nie ustę-
pują Morzu Śródziemnemu i
kryją na swym dnie niejedną
fascynującą niespodziankę. Kto
wie czy „Wędką Napoleona”,
choć skonstruowana z myślą
o zwykłych, ziemnych wyko-
paliskach nie posłuży nam kie-
dyś jak każda wędka... w wo-
dzie? Jej żartobliwa nazwa
okazałaby się wówczas pod-
ważnie uzasadniona.

ANDRZEJ NADOLSKI



ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

Noc i dzień w Marsylii

Świeży rekin! Świeży rekin! Świeży ree...! Marsylijski rybak uzbrojony w sie-
kierę i pilę, ubrany w gumowy wybr-
zony fartuch, w koszule osłaniającą za-
rośnięte ręce i piersi, w starą nasadzoną
na czubek głowy, marynarską czapkę —
zachęca przechodniów do kupna ryby.
Zwabieni okrzykami, więcej z ciekawości
niż z chęci kupna, stają ludzie przy nad-
brzeżu i obserwują kołyszącą się na wo-
dzie, szeroką rybacką łódź.

Czasem ktoś da się przekonać sprzedaw-
cy i poprosi o porcję świeżego rekina...
Wtedy w ruch idzie siekiera i piła. Po
chwili płac czerwonego mięsa wędruje na
wagę, a z niej na stertę starych gazet. Jesz-
cze tylko punkt kulminacyjny transakcji —
wymiana pieniędzy na towar i rybak po-
wraca na dziób łodzi, skąd zaczyna zachwa-
lać „najlepszą rybę jaką kiedykolwiek zda-
rzyło mu się złowić”!

Tuż obok koledzy po fachu sprzedają
krewetki „Fruiti di mare” — owoce morza
czyli wszelkiego rodzaju langusty, meduzy
i pajaki morskie, przywiezione z rannego
połowu.

Nieco dalej przewoźnik, wytworny star-
szy pan w zamszowej marynarce, zaprasza

wszystkich do zwiedzenia Chateau d'If. Przy
niewielkim moście, przymocowana grubą li-
ną do brzozy, czeka na pasażerów moto-
rówka. Gdy przewoźnik zbierze dostateczną
ilość pasażerów, gdy stwierdzi, że rejs przy-
niesie mu zysk, wtedy starszy pan podcho-
dzi do wiszącego obok mosiężnego dzwonka,
pociąga za sznurek trzy razy, dając znak
maszyniście by zapuścił motory. Kolejna
partia turystów uzbrojonych w lornetki
i aparaty fotograficzne zawieszane na szyi,
odpływa zwiędzać za jedyną 7 franków
zamek-wieźnię, w którym przebywał bo-
haterski hrabia Monte Christo.

Stary marsylijski port pulsuje własnym
życiem, ma swoją sferę dźwięków, jedyn-
nych, niepowtarzalnych, wymieszanych z
pluskami wody, z warkotem samochodów
przejeżdżających nadbrzeżną ulicą.

Tuż obok w maleńkich uliczkach, przed
hotelikami, przechadza się niekoronowane
królowe portu. Zaczepiają przechodniów,
ze znanstwem odróżnia tubylec od przygod-
nego turysty, prezentują swoje wdzięki,
oferując usługi.

Podchodzi do nas niski, obleśny, łysawy
facet.

— Anglicy? — pyta ścisłym głosem.

— Nie — odpowiadamy bez ochoty na
dalszą rozmowę.

— Amerykanie?

— Też nie!

— To nie szkodzi — ciągnie dalej nie-
zrażony niepowodzeniem. Mam dla was
rzecz, której nie spotkacie w całej Euro-
pie. Tylko w Marsylii, Paryżu i Hamburgu
można zobaczyć ten film. Dwadzieścia
dziewięć lat i dwadzieścia chłopców. Wszystko
co w tej materii wymyślono na świecie.
Możecie się nauczyć wielu interesujących
rzeczy. Film zaczyna się we Francji, potem
rozgrywa się we Włoszech, w Niemczech.
Ach, wy na pewno jesteście Niemcami! —
dokonuje odkrycia.

— Na pewno nie — odpowiadam nie-
grzecznie.

— Dajcie 50 franków — a zaprowadzę was
do tego kina. Warto, film trwa przez całą
noc i robi mocne wrażenie!

— Ale jaką my mamy pewność — że pan
ma pod właściwy adres — oponuje An-
drzej, który ma umysł bardziej realny niż
moje humanistyczne szare komórki.

— No to dajcie 10 franków — proponuje
facet, uważając sprawę za załatwioną.

— My panu damy 10 franków, a potem

okaże się, że zamiast kina pod tym adre-
sem znajduje się masarnia albo sklep z bu-
kami. Niech pan nas zaprowadzi, gdy
stwierdzimy, że rzeczywiście pan nas nie
nabrał, wypłacimy panu pieniądze — tu-
maczy spokojnie Andrzej.

Facet popatrzył z politowaniem na nas,
potem stuka się w czoło i mówi: „Dziwni
cudzoziemcy, po raz pierwszy spotykam ta-
kich cudzoziemców”, co powiedziawszy od-
chodzi nabierać innych na jedyny film
o dwudziestu chłopcach i dwadzieściu dzie-
wczynach. Panorama, stereofonia, wielka mi-
łość na szerokim ekranie.

To są brudy miasta, ulice, po wyjściu
z których człowiek tak jak pies po wyj-
ściu z wody, musi zrzucić, strzepnąć z siebie
wszystko.

Idziemy znów nadbrzeżną ulicą. Spogląda-
my na żaglowki, na jachty przymocowane
do brzozy. Na jednym z tych małych okr-
ętów ekipa pletwonurków sposobi się do
podwodnej wyprawy. Harpuny, pistolety
wodne, noże z rękojeścią z korka, utrzymu-
jącą nóż w wodzie, chroniące go przed zata-
nięciem, butle z tlenem, skafandry gumo-
we — cudaczny, trochę marsjański sprzęt
zadziwia nas. Gapimy się na czwórko mło-
dych ludzi nie ukrywając ciekawości. Jacht
wkrótce wypływa na pełne morze. Kiwny
pletwonurkom na pożegnanie, sami zaś za-
nurzamy się w uliczkę pełną straganów.
Stoją ustawione jedne obok siebie, różno-
barwne, zawalone błyszczącą tandetą. Stra-
gan pamiętek z Marsylii. Muszle, muszelki
i inne dziwy wyłowione z morza zeszpeco-
ne kolorowym napisem Marsyllia. Małe od-
lewki katedry Notre Dame de la Garde
i zamku Chateau d'If. Obok stragan z wi-
dokówkami. Podłużne, kwadratowe, z na-
graną melodią „Marsyllianki” — czarne,
białe, kolorowe. Są też pocztówki „dow-
cipne”. Bardzo gruba pani, w kostiumie
kapielowym skacze z trampoliny do wody.
Lysy pan z brzuskiem, siedzi obok bar-
dzo grubej pani. Rozanielony patrzy na
młodą, zgrabną dziewczynę. Dowcip tani,
ale pocztówki drogie. Można jeszcze kupić
i inne widoczki potajemnie sprzedawane
turystom. Wielu naiwnych daje się nabrać
sprytnym oszustom. Zagrywa jest bardzo
prosta. Stoł sobie taki oszust przystraganie
i w kopercie ma schowane zdjęcia. Tajem-
niczym głosem proponuje pocztówki miłoś-
ci. Zwinnie wysuwa z koperty jedno zdjęcie,
miga nim przed oczyma i zaraz chowa do

koperty. Chce pan kupić niech pan płaci.
Objeżdża pan dopiero, gdy da pan pieniądze.
Tego się nie ogląda, to się kupuje — wy-
jaśnia, po czym jeszcze raz miga kawka-
kiem sfotografowanego nagiego ciała. Ciekaw-
y, naiwny, wyjmuje pieniądze i płaci.
Oszust sprytnie się ułatnia a właściciel z
przerażeniem stwierdza, że sprzedano mu
reprodukcję sławnych obrazów z Luwru
i zdjęcia rzymskich posągów. Ale już jest
za późno. Oszust zniknął, a nawet gdyby
nabity w butelkę go odnalazł, to i tak nie
mu nie zrobi. Handel zdjęciami pornogra-
ficznymi jest we Francji oficjalnie zabro-
niony.

O tych wszystkich małych oszustwach
opowiadają nam Polacy, rodzina państwa
Dieupart, którzy pokazują Marsylię, po-
święcając nam wiele czasu. Mąż pani Dieu-
part, mimo że jest rodowitym paryżaninem,
doskonale mówi po polsku. Na spotkanie z
nami przysłał specjalnie polski Krzyż Virtuti
Militari. Podczas wojny uciekł z nie-
woli, walczył w polskiej partyzantce, tam
też poznał urodziwą Polkę, która po zakoń-
czeniu wojny została matką Dieupart. Pan
Dieupart zabrawszy swoją żonę wrócił do
Francji i tam doczekał się potomków o
polskich imionach Bolek, Jagódka i Jan-
neka. Wszyscy znakomicie mówią po pol-
sku i właśnie w tym języku opowiedzieli
mi historię, którą chcę dziś przekazać pań-
stwu.

Francuzi dość często używają zwrotu „pi-
jany jak Polak”. To wyrażenie nie przyspa-
ra nam narodowi wielkiej chwały,
więc pani Dieupart postanowiła napisać do
Radia Francuskiego list, w którym prosi
o wyjaśnienie czemu polski naród cieszy
się taką niestawą u bratnich Francuzów.
W radio francuskim, podobnie jak i u nas
prowadzona jest specjalna audycja, w któ-
rej redakcja odpowiada na listy słuchaczy.

Po miesiącu, na falach RTF — pani Dieu-
part uzyskała odpowiedź...

Wyrażenie „pijany jak Polak” — pocho-
dzi jeszcze z czasów napoleońskich. Mały
wzrostem — wielki Bonaparte zwykł po
zwycięskich bitwach częstować swoją ar-
mię alkoholem. Pili wszyscy — ile kto
chciał. Wtedy właśnie Bonaparte zaczynał
poważnie oddziaływać. Pijani żołnierze nie
poznawali swojego wodza. Niektórzy roz-
poznawszy go, klepali po ramieniu, pro-
bowali picie z jednej butelki. Jedni tylko

str. 5

Król i generał

Generał od lat był emerytem, korzystającym w miasteczku z powszechnego szacunku. („Niech państwo posłuchają: jak ja pod Mogilnem rzuciłem całą brygadę do walki, to nikt oprócz mnie nie został przy życiu, nawet ranni poumierali na drugi dzień!”) Król Władysław XVII wymyślił zaś sam siebie, a więc był po trochu warianem, gdyż królów rzeczywistych stwarzają klasy, społeczeństwa.

Władysław XVII stanowił pożądaną okazję dla miejscowych szwerców i prześmiewców, przed czym nie zawsze chroniły go siwe wasy i siwa czupryna. Paradoxiem w granatowym mundurze, na sznoblach, co złościło generała, również miał dwa czerwone lampasy, a czapka pochodziła z carskich czasów, na jej otoku zamiast emaliowanego znacznika w kształcie ciżmy znajdował się duży orzeł. Tylko w niedzielę i święta Władysław XVII obwieszał pierś orderami, zresztą dość wątpliwego pochodzenia, zasłaniał w kościele no lewej stronie w pierwszej ławce i to szanowano, nikt więc nie zaimował w niej miejsca. Generał przed laty, gdy zjechał do miasteczka i wraz ze starym ordynansem zajął mały domek obok towarzysza, także nosił wasy, ale zgiął je, gdy się przekonał, że podobne pielęgnował Władysław XVII. W oświele król bardzo depelowwał generała swoją obecnością w kościele, generał kilkakrotnie interweniował w tej sprawie u poroższca, rozmowa jednak zawsze kończyła się podobnie...

— Toż zwyższaj sumaszedzyszy, proszę księża poroższca!

— Ale spokojny i nie wadzi nikomu...

— Wystawia on mnie na śmieszość, przyslibym, żeby nie pozwolono mu na zaimowanie oddzielnej ławki...

— Przed Bogiem wszyscy jesteśmy równi, panie generale...

— Ale ja pod Mogilnem rzuciłem całą brygadę do walki!

— Przed Bogiem wszyscy są równi... — nie ustępował ksiądz poroższca, choć generał prychnął i gwałtownie zaciskał rękę na gardzie kawalerskiej szabl.

Królowi w święta klaniali się prawie wszyscy mieszkańcy miasteczka, byli bowiem w dobrym nastroju, generałowi tylko jego osobici znani i sztabacy, którzy w szkole uczono, żeby zanosować bohaterów. Obaj odsalutowywali w podobny sposób, siebie jednak ignorując: król, gdyż nie mógł pozdrowić generała pierwszy, każda etykieta tego zabraniała, generał, gdyż powodowała nim pycha i próżność.

Przez cały czas podczas nabożeństwa generał starał się nie patrzeć w lewo, nawet wtedy gdy ksiądz wchodził na kazalnice, ale wierni z dużą satysfakcją zerkali ku obu ławkom, częściami zastępowano im to lekturę czasopism humorystycznych, którzy tu nikt nie prenumerował.

Ogólnym szacunkiem cieszył się w miasteczku właściwie tylko ksiądz Pereswiet-Modry, choć był dziwnym i utracuszym, widywano go nawet w biały dzień w stanie wyraźnego zakłócenia równowagi.

Pereswiet-Modry, jak samo nazwisko wskazuje, należał do starego rodu polskoruskiego, niestety, dostojność i genealogiczność omszałość nie szła w parze z zamożnością, do czego skutecznie przyczynili się zwłaszcza jego dziadkowie i pradziadkowie. Mimo to Pereswiet-Modry miał w miasteczku młyn parowy, dostarczający wszystkim światła elektrycznego — czasem dla zabawy księża je wylaczał — oraz kilkanaście wólk ziem, przeważnie rojstów, mieszkał w drewnianym dworze z kilkoma antresolami, dwór stał na skraju starego parku, w którym zachowało się tylko co piąte czy dziesiąte drzewo, ale całość sprawiała dość godne wrażenie, prezentując malowniczość zaniedbania, książe nadal w naszym ubogim miasteczku był człowiekiem zamożnym. Lubili gwar i dopuszczał do siebie ludzi wszelkiej kondycji, powieździeliśmy nawet, że lubował się w ludziach podłej kondycji: gołobiarzach, pięknie grających na ustychnych harmonijkach; bezrobotnych magistrach; woźnicach, którym konie zlicytowano; krawcach-laciarzach, z których zorganizował coś w rodzaju banderli, ubranie dość ostroko i nie jednolicie, w święta kościelne i państwowe dosiadającej koni, zwolnającej się obok murowanej stajni, która była i remiza strażacka, gdyż banderia, z braku zawodowej straży pożarnej, brała udział w likwidowaniu pożarów. Niestety, pożary zdarzały się rzadko. Pereswiet-Modry przeważnie nudził się, od czasu do czasu przywołał banderle przed domek generała, zapraszał go na okuliastego luzaka, przeze mnie specjalnie dla generała przyprowadzanego, obejmował dowództwo nad banderla, czuliśmy się wtedy jakby rzeczywistymi, uroczyste przecinałyśmy wiciami miasteczka, czasem przy pochodniach, nie rzadko z dużym hałasem iechaliśmy ku roistom na polowanie, z którego przywoźliśmy przeważnie tylko ptaki. Była to jednak zaledwie skromna aluzja do czegoś, co w historycznej przeszłości odznaczało się werwa i soczystością, prawda i siła.

Całkowity marazm zapanował w maju 1981 roku, gdy dwie rzeki, między którymi leżało miasteczko, nagle zaczęły wzbierać, szeroko się rozlewały, łącząc swoje mętne wody w wielu miejscach, oddając miasteczko od włości księcia i w ogóle od świata, przestały dojeżdżać furmanki i ciężarówki, prąd znikł z prądu.

Początkowo Pereswiet-Modry nawet się ucieszył: było trochę krzątaniny i kłopotów przy ewakuowaniu ludzi i bydła z nioż położonych uliczek, zawieszono leki w gimnazjum, gdyż do budynku można było dostać się jedynie łódką lub napredce skłonią trawą, samo wzbieranie wody, na której obok wielkich drzew z korzeniami płynęły czasem i jakieś chałupki, syciło oczy dziwną malowniczością. Ale po paru dniach to się nam opatrzyło, co może być interesującego w widoku domów zanurzonych w fali po dachu i drutów telegraficznych, z daleka wyglądających jak zeszytowane linijki na brudnej kartce wody; wpadliśmy w grząską nudo, bo i deszcze często lały, nie wypadło dla zabawy wytaczać światła, w dodatku zanie mógł generał, próbować siła wsadzić go na konia, co kiedy za każdym razem spadał, Pereswiet-Modry nie tał zniechęcenia:

— Też mi powódzi: ani tyfusu, ani żadnych ofiar w ludziach!

Co prawda jeszcze tego samego dnia, jakiś pod wieczór, utonął pewien rzemieślnik, niestety, po pijanemu, nie było to więc związane z rozuhanym wodnym żywiołem.

— Gdyby choć należał, sukinsyn, do naszej banderli, urządzilibyśmy uroczyste pogrzeb z przemówieniami władz miejskich... — westchnął ksiądz na wiadomość o wypadku. — Nuda, jazgotliwa nuda!

Frasował się wielce Pereswiet-Modry, opróżniając niejedną flaszkę piwa, bardzo

mu współczuliśmy, zastanawiając się gorączkowo nad tym, jaką wymyślił przysługę, by gładko ogolone oblicze księcia choć na jakiś czas się rozjaśniło. Interesujący plan dojrzał dopiero nad ranem i to w głowie samego naszego pana:

— Banderia na koni! Jedziemy do króla i obwołamy go panującym w miasteczku! Nim wszystkich rozbudziliśmy i sprowadziliśmy, upłynęło nieco czasu. Użytkowałem banderle, ruszyliśmy ulicami ku przedmieściu w okolicy mostu, teraz oddzielnego pasmem wody od miasteczka, gdzie kałem, u pewnej litościwej staruszki, mieszkał Władysław XVII. Nie był przygotowany na naszą wizytę, siedział przy herbatce w jakiejś opończy lub po prostu w starym szlafroku. Weszliśmy tam z księciem, który uściśnął zdziwionego króla dawnym zwyczajem pod kolana i oznajmił:

— Miłościwy panie Władysławie XVII, siadaj co żywo na koni, ogłosimy królestwo, panuj nam!

Król jakoś niewiele z tego zrozumiał, zaskoczony tyłoma i takimi dowodami atencji, z którymi nie był obyty, a może zależało mu na nie dopiętej herbacie i nie dojeźdzonej piętce chleba ze szmalcem, gdyż nieśmiało się sprzeciwił:

— Ale ja jestem królem wygnanym...

Ucieszył się z tego oświadczenia Pereswiet-Modry...

— Otóż to, miłościwy panie! Czas najwyższy, by oddać ci sprawiedliwość... Miasteczko, na skutek woli przyrody, stało się suwerenną jednostką, samodzielnym kontynentem, obojętnym ze wszystkich stron wodami... Wymarzona okazja, żeby osadzić ciebie, miłościwy panie, na tronie...

Król nadal zdawał się być niemile zaskoczony, tron najwidoczniej nie mieścił się w jego ambicjach, bronił się:

— Może zrobimy to po południu?

— Nie mamy czasu do stracenia, miłościwy panie! — tym bardziej nalegał Pereswiet-Modry. — Wkładaj koronę (tekturowa korona stała na komodzie pod znatowiałym lustrem) i jedźmy! Jak ustąpią wody, a może to stać się już za kilka dni, znowu wróci tu przeklęta pilsudczyzna!

Książe odziedziczył upór po przodkach i teraz właśnie stało się to widoczne w najpiękniejszy sposób. Przy pomocy staruszek, która żywiła dla księcia wielki szacunek, zmusił króla do szybkiego spożywania śniadania, wylewając resztę herbaty z fajansowego kubka przez okno, mnie nakazał zastosować się do jego mundur, ordery, spodnie i czapkę — pośpiesznie ubraliśmy Władysława XVII, umyśmy go uprzednio. Przed drewnianym gankiem, na który niemal siła wypchnęliśmy króla w galowym mundurze, stała osiadiana stara klacz, ów luzak służący uprzednio generałowi, trzymana dla fasonu za uzdę przez jednego z banderli.

Uderzono w dwa werble, gdyż banderia dysponowała tylko jednym bebnem. Władysław XVII rozejrzał się dokoła z wykości klaczy, głęboko westchnął, nadal bowiem chciał być wygnanym, i zapytał:

— To gdzieś ten mój tron?

Otuha w nas wstąpiła, zaczęliśmy wznośić radosne okrzyki. Tron zaś znajdował się w starym spichlerzu, należącym do dworskich zabudowań, w spichlerzu tym przysposobiono również jeden ką na poślanie, tam zamieszkał król, a ksiądz Pereswiet-Modry, którego przodkowie również brali udział w osadzaniu królów i książąt, czuwał nad tym, by Władysław XVII jak najciszej siedział na tronie, starym fotelu, pięknie przykrytym czerwona kawa, my zaś łapałymi przechodniów, nieradko uciekając się do łagodnych form przemocy, by składowi mu hold. Król przedstawiał się doskonale, wiele jednak rzeczy wskazywało na to, że nigdy przedtem nie próbował panować. Władysław XVII nie był zbyt rozgarniętym królem. Pierwsze jabłko, pochodzące z resztek zimowych zapasów Pereswiet-Modrego, które ze wzeledu na swoją rumianność miało być jabłkiem królew-

skim, trzymanym w uroczystych chwilach w ręku, Władysław XVII chciał je zjadać, to samo stało się i z drugim, dopiero trzecie uniknęło tego losu, niebawem zresztą król otrzymał jabłko z miedzianej blachy. Urządziliśmy uroczyste przejażdżki po miasteczku. Władysław XVII jechał w orszaku, do którego i ja miałem zaszczyt należeć, za nami na piętnastu koniach ciągnęła banderia, coraz ktoś do nas, najeżdżając pieszy, przylącał się wzbogacając orszak.

Posterunkowi dwukrotnie zaszli nam drogę z zamiarem rozproszenia towarzystwa, ale Pereswiet-Modry, od którego zawsze tak wiele w miasteczku zależało, nie dopuścił do rozlewu krwi lub choćby do jakiegos publicznego zgorszenia.

Duża przysługa oddali nam sztabacy, którzy całkowicie zapomnieli o generale i brali jak najżywszy udział w pochodach.

O każdej porze dnia po kilka razy przeciągaliśmy przed domkiem generała, którego jedyna rozrywka znowu stała się szcziecie na siebie dwóch kundli, oddzielonych drucianą siatką. Nie ma co ukrywać, dobrze wiedziałem, że była to ze strony Pereswiet-Modrego prowokacja, zwłaszcza iż król oswoił się z sytuacją, zaczął nabrać pewności siebie, zyskiwał na królewskość, wreszcie nie odmówił sobie przyjemności wolania w kierunku generała!

— Do orszaku królewskiego, generale, do orszaku!

Parę razy widzieliśmy przylepioną do szyby twarz generała, była spłaszczona i biała, znikła na nasz widok. Staruszek zapewne bardzo ciężko przeżywał swoje pełne opuszczenie, do którego od lat nie był przyzwyczajony, bo i my zaczęliśmy wzywać:

— Ukorź się przed królem, generale! Proś naszego pana miłościwego Władysława XVII o łaskę!

W dwa lub trzy dni później, w czasie pierwszego rannego przejazdu, a tym razem i burmistrz z urzędnikami znalazł się w orszaku, ujrzelśmy naprzeciwko domku generała, na trasie przejazdu, trzech sterzających nieruchomo jeźdźców. Ucieszyliśmy się! Na pierwszym koniu siedział malutki generał. A więc staruszek opuścił jednak dom i pragnie zapewne wziąć udział w orszaku. Radosnie pohlukując, ponasiliśmy nasze konie.

Nim ktokolwiek zorientował się, generał, w którego wiatym ciele zagrała dzielna krew, zupełnie nieoczekiwanie natarł na króla z szablą, lżywie wrzeszcząc:

— Samozwancy jałdaku, łędymitrzel!

Władysław XVII cichutko zsunął się z konia, zarabany szablą. Nasz sikawkowy, mlieliśmy bowiem ze sobą i beczkowóz, wycełował hydrant w stronę generała, ale była to spóźniona interwencja w obronie Władysława XVII. Jednak strumień z hydrantu był silny, a generał po chorobie, więc najpierw zachłystnął się wodą, potem rozczapierzył jak ptak skrzydła, potem spadł z konia i, jak się okazało, również nie żył.

W naszej stłoczonej gromadzie rozlewał się okrzyk, potwierdzający autentyczność całego wydarzenia: „Kajuk! Kajuk!”

Ksiądz Pereswiet-Modry w tym samym czasie zeskoczył z gniazdosza, pochylili się nad trupami zasępiony i zdesperowany.

— Co teraz będzie? Prokuratorzy, sądy wyrok!

Niedługo, na szczęście, trwał stan desperacji. Surowa twarz księcia Pereswiet-Modrego rozjaśniła się, słofce zresztą wywierało zza chmury, mocno klepnął prawą dłoń najbliżej stojących po twarzach, wziął się pod bok, wyzwalając się rozśmiał:

— Ale za to nareszcie wybrneliśmy z groteski, mości panowie! Wszystko stało się prawdziwe!

Błyskawicznie wskoczył na konia, sorawał nie wysuwając dźdę do przodu, z okrzykiem: gorze, gorze — natarł na dwóch zaginionych jeźdźców, towarzyszących generałowi.

Najciekawszy i jedyny

Zbiór opowiadań Włodzimierza Krzemińskiego „Zgas papierosa, Jack” można i warto interpretować jako cykl. Chciałbym w wstępie zacytować słowa autora umieszczone na obwolucie: „... jest tu i tematyka związana z wojną, to się jeszcze może powtarzać, trudno. Mogą się też kiedyś powtórzyć próby skomentowania własnych przeżyć, dawnych i nowych, a także próby dotarcia na różne sposoby do prawdziwych zależności, uwarunkowań i reakcji psychicznych najciekawszego i jedynego obiektu literackiego: człowieka.”

Dlaczego jednak cykl? Krzemińskiego interesują głównie dwie sprawy: jak człowiek kształtuje samego siebie dla siebie i dla innych i jak człowiek wybiera, czy dostosowuje się do miejsca swojej pracy. Każdy jego bohater pojmuje pracę jako pewien „metafizyczny” obowiązek, który jest właściwie bardzo bliski marksistowskiej koncepcji pracy jako samoafirmacji. Te dwa problemy — konieczność działania i uwarunkowania związane z miejscem, a więc możliwości

ciami — decydują o pewnej jednolitości opowiadań. Z kolei rozpiętość czasowa — od wojny do dziś — skłania mnie do potraktowania całości jako cyklu.

Pierwsze dwa opowiadania wyraźnie nawiązują do czasów okupacji i wojny. Już tutaj te podstawowe problemy ukazują się w sposób bardzo wyraźny. Wojna stwarzała sytuację specyficzną. Nie było mowy o wyborze miejsca, warunków własnego działania. Okoliczności narzucały wszystko. Działając, to bardzo często znaczyło przetrzymać. To pragnienie przeżycia „nocy” jest jedynym i takim samym u obydwu bohaterów opowiadania „Zgas papierosa, Jack”. Cel ten sam. Nie on jednak określał człowieka. Wtedy decydował wybór drogi.

Bohater „Guziczków z perłowej masy” pojawia się w okolicznościach zupełnie innych — w chwili największego nasilenia choroby. Od tej chwili zaczyna się jego powrót do życia, jego nowe życie. Problem „życia od nowa” jest postawiony w swojej krańcowej formie. Po wojnie świat

powraca do życia, i bohater, nie obciążony medalami i kompleksami wojny, znajduje się w takiej samej sytuacji. Jest to chyba jedno z najciekawszych opowiadań. Krzemiński bardzo precyzyjnie pokazał odradzanie się jednostek i społeczeństwa. Przechodzenie od stanu tymczasowego tuż po wojnie, do organizowania normalnego życia.

Bohater poszukuje własnego miejsca. Nie wszystko jest jeszcze normalne. Zaczyna więc od tego, co jest już w tej chwili możliwe. Już teraz można myśleć o kobiecie. W szpitalu jest ich kilkanaście. Flirt z Ani nie jest w tym wypadku próbą zaspokojenia meskich ciągów. To jest gra, która ma na celu utworzenie pewnej struktury społecznej, która stanie się odskocznią do działania. Zasady tej gry określa nie obecna sytuacja, ale widzenie przyszłości. Nie dziwi w tym wypadku szybka rezygnacja z jednej kobiety na rzecz innej, która lepiej się mieści w wizji przyszłości.

Konstrukcja opowiadania podkreśla jeszcze bardziej proces integracji społecznej. Są to monolog dwóch osób. On i ona, którzy ledwo wiedzą o swoim istnieniu, zostają włączeni w ten sam proces. Wzajemnie wyrażają się między nimi, to wyraża wymiana monologów na dialog.

W opowiadaniu „Chyba dobrze” bohaterowie są postawieni znów w „punkcie zerowym”. Wojna jest skończona, trzeba zdecydować, jak będzie wyglądało dalsze życie. Możliwości są dwie:

powrót do „bolszewickiej” Polski albo wyjazd na emigrację.

Tutaj bohaterowie określają się bardzo wyraźnie. Miejsce chłopca to ziemia — trzeba mu dać możliwość pracy na niej. Nauczyciel wraca do Polski, bo tam jest wiele dzieci, które trzeba uczyć.



Włodzimierz Krzemiński w karykaturze Ibis-Gratkowskiego.

Dotychczas bohaterowie Krzemińskiego poszukiwali. Starali się znaleźć dla siebie warunki, w których najlepiej można wykazać się wszystkim, co w nich najlepsze. To uparte dążenie do potwierdzenia własnych możliwości przez konkretne działanie określało całą ich postawę, wszelkie, tymczasowe (z czego zdawali sobie sprawę) zabiegi, starania itp.

Dwa ostatnie opowiadania traktują o czasach współczesnych. Problemy wyboru miejsca nie są natrętne. Bohaterów absorbuje praca, jak najwzschodniejszej wykorzystanie swoich możliwości. Wskazują się pragnienia uzyskania pełni, doskonałości.

Bohaterka opowiadania „Ani na milimetr” jest świetnym pracownikiem. Docenia własną pracę. Wie jednak, że jej możliwości nie są w pełni wykorzystane. Wie, że była dziewczyną piękną i inteligentną. Mogła być doskonałą żoną i matką. Dlaczego zaprzępała wszystko, co mogła dać? To pytanie nurtuje przez cały czas starzejącą się kobietę. Pewna namiastka małżeństwa — znajomość z mężczyzną żonatym, lecz słabym, potrzebującym oparcia, w jakiś sposób zaspokaja jej pragnienia. Ten niewielki fragment życia, wyobraziony przez rozmyślanie, pozwala jej zgodzić się na siebie, pozwala zapomnieć o przegranej.

Sprawa pełni łączy się z problemem doskonałości. Urzędnik, bohater opowiadania „Inspektorzy są mądrzy” jest zdolnym, sumiennym pracownikiem. Praca nie jest dla niego czynnością, którą się wykonuje po to, by wrócić do domu i zacząć prawdziwe życie. Praca, to coś dużo więcej. Nie może tego zrozumieć żona urzędnika, która uwa-

ża, że pracuje się dla pieniędzy lub awansu. On czuje, że tutaj kryje się właściwe jego życie. Dlatego też błąd, który popełnił pięć lat temu, decydująco wpływa na jego awans, ale przekreśla go jako wartościowego człowieka.

Pominąłem w moich analizach jedno opowiadanie — „Stryjaszek”. Wyróżnia się ono spośród pozostałych nie tylko inną barwą, inną stylistyką. To także nowy problem: jak czas wpływa na wartości, które człowiek już osiągnął, jak wpływa czas na możliwości działania człowieka. Wnosił bynajmniej nie skłaniając do pesymizmu. Chciałbym podsumować wszystko jednym zdaniem. Przeczytajcie opowiadanie „Klomb”. Autor jest pełen podziwu dla człowieka, którego nie nie mogło skłonić do rezygnacji, do bierności. Afirmacja działania, tworzenia nadaje całej książce ton. Jest to tym cenniejsze, że Krzemiński nie obawia się bardzo wnikliwej analizy.

Proszę wybaczyć mi pewną jednostronność moich rozważań. O każdym z tych opowiadań można i warto napisać esej większy od całej recenzji. Niestety, z powodu braku miejsca musiałem ograniczyć się do sprawy, według mnie, najważniejszych.

Włodzimierz Krzemiński: Zgas papierosa, Jack. Czytelnik 1983, cena zł. 11.

Teatr Irzykowskiego

Pewien znajomy warszawiak powiedział w rozmowie ze mną: „Kupiłem i przeczytałem „Recenzje teatralne” Karola Irzykowskiego. Bardzo się dziwię, po co i dla kogo to wydano. Przecież Irzykowski bez komentarza czytać niepodobna”.

Nie byłem w stanie podjąć wówczas dyskusji, bom omawianego tomu jeszcze nie znalazłem. Jak widać, domo, nowości wydawniczej docierała z dwutygodniowym opóźnieniem. Teraz, kiedy mam już lekturę „Recenzji teatralnych” za sobą, mogę powiedzieć, że zdanie mojego znajomego z Warszawy uważam za całkiem niesłuszne. Mało: za absurdalne.

Uważam, że te recenzje, pisane w latach 1918–1939, należało opublikować znacznie wcześniej, aby czytały je aktorzy, dyrektory teatrów, recenzenci i w ogóle ludzie inteligentni, którzy od czasu do czasu chodzą na przedstawienia. Trzeba wyrazić wdzięczność PIW (Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu) za staranie o opracowanie tomu ze wstępem Janusza Szpotanowskiego i przypisaną Barbarę Winklowej. Zgadza się zupełnie z opinią, pomieszczoną na skrzydełku obwoluty, że „recenzje Irzykowskiego pisane z zacięciem pełnego temperamentu polemisty są lekturą niesłychanie interesującą mimo upływu kilkudziesięciu lat od ich napisania”. Tak jest, proszę państwa! Czyta się „Recenzje teatralne” z najwyższym zacięciem i z niecierpliwością, aż się wydaje, że wypada postawić je wyżej od oświatowych „Flirtów” Melpomeny! Bo, co mnie jako zwolennikowi tego ostatniego nie przyszło zbitł? Jest w tym prawdziwy tryumf Irzykowskiego, który walczył z Boyem o prymat i zazdrościł mu sławy i wzięcia u czytelników. Szkoda tylko, że triumf ten nastąpił tak późno, w dwadzieścia lat po śmierci autora „Walki o treść”.

Na czymże więc polega żywotność tych recenzji, piśnianych przecież doraźnie,

dla potrzeb gazety? Karol Irzykowski, który przez całe swoje życie wiodł spór o model kultury i literatury polskiej, miał również skonkretyzowaną wizję teatru, nie samego teatru, to dramaturgii w każdym razie. Stąd jego nastawienie polemiczne do każdego utworu, realizowanego na scenie. Irzykowski podchodził nieufnie do ocenianych sztuk, nie zadowalały go powierzchowne sady i zdawały mu się pochwały. W każdym z widzianych dramatów szukał istotnych treści, drążył z właściwą mu namietnością jego sens, kompozycję i formę artystyczną. Od literatury domagał się Irzykowski wartości intelektualnych i filozoficznych. Był racjonalistą, poszukiwał w dramacie spełnienia niezaspokojonych tęsknot ducha i umysłu ludzkiego.

Gdy czyta się dziś, po tylu latach, jego recenzje, odnosi się niekiedy wrażenie, że były pisane niejako na wyrost, nie dla swego czasu, lecz dla przyszłości. Irzykowski już wtedy przestrzegał przed supremacją form inscenizacyjnych i scenograficznych. Był zdania, że w teatrze najważniejsze jest słowo. Drwił z wynalazków i rewolucyjnych odkryć realizatorów teatralnych. Irzykowski dostrzegał niebezpieczeństwa, kiedy nie były one jeszcze groźne. Iła tego wiele z jego poglądów i ocen można znaleźć w rozumie dopiero obecnie, kiedy w teatrze zapanował całkowicie inscenizator. Kiedy tekst przyporządkowany jest koncepcjom reżyserskim, ba! kiedy słowo staje się jedynie pretekstem do konstrukcji pozartystycznych. Później powściągliwie odnosił się Irzykowski do prób dramatu awangardowego. W zbiorze recenzji, który omawiam, widać on spór z Witkacym. I choć wypada nam stwierdzić, że w sporze tym zwyciężył raczej Witkacy, którego sztuki nie tylko wytrzymały próbę czasu, ale czas przydał im jeszcze wartości i znaczenia — jego nieufność i ostrożność w akceptowaniu wszelkich eksperymentów okazuje się słuszną i zasadną. Niemniej

krytycznie odnosił się Irzykowski do tzw. sztuk naukowych tj. utworów w rodzaju Cwojdzińskiego „Teorii Einsteina” i „Freuda teorii snów”. Irzykowski ujawnił tu nie tylko znakomite czytanie i wiedzę, lecz nadto niepowściągniętą wnikliwość i irytację. Recenzje posuwa się tak daleko, że rozważa możliwości innych rozwiązań problemowych i kompozycyjnych ocenianych przez siebie dramatów. W ten sposób dochodzi do głosu Irzykowski — pisarz, autor powieści i sztuk teatralnych, nie zawsze co prawda udanych, lecz pełnych pomysłów, o ciekawej i oryginalnej budowie.

Tak więc czytanie „Recenzji teatralnych” daje niełatwą satysfakcję. Ale nie dla samej satysfakcji polecam je uwadze czytelników. Ta książka ociera się wciąż o żywotne i aktualne problemy dramaturgii i teatru. To nie, że Irzykowski (podobnie zresztą jak i Boya) mało zajmowały sprawy aktorstwa. Siła jego recenzji leży w tym, że nicuje on treści znanych i uznanych utworów, a do nowych — podchodzi z uważną czujnością badacza.

Czas wreszcie zburzyć legendę, że Karol Irzykowski pisał drętwo i bez połotu. (Sam kiedyś uległ tej opinii). „Recenzje teatralne” i pod tym względem są lekturą zajmującą. Pisane żywo i z werwą, niekiedy dowcipnie, świadczy dowód, że Irzykowski nie był żadnym nudziarzem, lecz krytykiem teatralnym z temperamentem i dużą odwagą. Odwaga ta polegała na stałym przeciwstawianiu się uznanym autorytetom, na kwestionowaniu uznanych wartości, na rozprawianiu się z uznanymi opiniami literackimi.

Lekturę książek Irzykowskiego proponuję zacząć od odpowiedzi na ankietę, dotyczącą krytyki teatralnej (str. 429). Winni ją przeczytać ci, którzy recenzje piszą i ci, którzy je potem czytają. Prosto i bez szamania wyjaśnia Irzykowski swoje podejście do teatru, a czyni to lekko, bez wysiłku i z przymrużeniem oka. Voila!

Jan Koprowski

STANISŁAW
KASZYŃSKI

CZY BUDZIĆ ŚPIĄCYCH?

Czytałem niedawno recenzję ze szwedzkiej prapremiery „Matki Courage” Brechta. Odbyła się dopiero teraz, w dziewięć lat po śmierci autora. Moja szczególna uwaga skupił passus, omawiający trudności tej realizacji. Reżyser królewskiego teatru stał bowiem przed niebyłymi przeszkodami, a mianowicie jakimi środkami scenicznymi przekazać sugestywny „prawdziwy” obraz wojny, oczywiście tej trzydziestoletniej. Jak zrobić tam, nad spokojnymi fiordami spektakl, aby w widzu pozabawionym jakichkolwiek wspomnień tego rodzaju, wywołać wizję grozy i nieszczęść wojennych. Zaiste, szczerzyli to ludzie, którzy nie potrafili sobie nawet utworzyć podobnych sytuacji. Nie potrafili, ponieważ za pozabawieni takich doznań, takich doświadczeń jednostkowych, a przede wszystkim zbiorowych. Jeśli wiedza i świadomość przyswajania się w trakcie przyswajania sztuki, to fakt ten, jak się zdaje, sprawdza się najostreżniej gdzieś indziej jak w teatrze. I aby mógł on pozostać żywy i aktualny, musi istnieć ów fakt, porozumienia między nadawcą i odbiorcą.

Teatr Ziemi Łódzkiej przygotował ostatnio „dramat współczesny w trzech częściach” pt. „Śpiących nie budzić”. Podtytuł jest odrobnie myślny, ale nie uprzedzajmy wywołu. Autorka, p. Zofia Piętkiewicz-Malanowska, zadebiutowała tą sztuką. Z biografii autorki wyciągnęliśmy jeszcze to, że była więźniarką obozu w Ravensbrück. Nie jest ten szczegół potrzebny, gdyż sztuka ta wykrzykuje to zdarzenie donośnie. Nosząc ślady pierwotnej dramatycznej, gatunkowo przynależą do borealej serii utworów, powstałych pod dyktando cniśnienia przeżyte, a więc niejako w tym punkcie uewnętrznienie, gdzie autorka wypiera literaturę, a autentyczna relacja góruje nad fikcją. Nie mamy tutaj relacji automatycznej, bowiem każde zeznanie pisarskie podlega obróbce, która do pewnego stopnia zawsze stopnia świeżości wypowiedzi. Działła tu bezwzględne prawo ponownej rekonstrukcji i nie na to nie poradzimy. Dlatego białe z tego powodu? Po prostu dlatego, że zstępować w te rejony ludzkiej ostateczności, poza bramy obozu koncentracyjnego, chcia-

łoby się, jeśli już trzeba wszystko to roznamietwać, obować z surową i nagą, zgoła męczącą rzeczywistością. Bez smug lirycznych, które nie wyrzucają próby zderzenia i bez komentarzy czy odwołań do nas. To niepotrzebne, zgiekliwe i uprzykrzone wobec naszej pamięci. To samo stanowisko zajmuje pozornie autorka jakkolwiek ujawnia ją tylko w tytule, brzmiejącym jak nakaz, prośba, memento. Przeczy sobie jednak, odkręcając na naszych oczach ten złowrogi sen — przewód i, co więcej, wzbogacając go o rozmaite dopiski. Jest ich tak wiele i różnorodnych, i ten wszystkich, trochę typowy dla debiutantów, osłabia i częściej wytraca siłę opowieści. Choćby ten końcowy apel wprost do publiczności o konieczności pamiętania. P. Henryk Dudziński, któremu powierzono funkcję informatora śledczego (?) i utwierdza (czy to głos sumienia?), poddaje się tej presji i staje się, jak na moją wrażliwość, nieco patetyczny, to znów liryczny. Głównym odbiorcą spektaklu jest przecież widz wielki, lubiący ten ton, więc przyjmując tę wykładnię.

P. Jan Skotnicki, ongiś spirus movens i wyborny aktor naszego „Pstraga”, dziś już reżyser, miał zadanie znacznie łatwiejsze niż Alf Sjöberg ze Stockholmu. Łatwiejsze, bo każde słowo i każdy gest mogą trafić i trafiają rzeczywiście bezbłędnie w nasze oczy i w nasze uszy. Nie mniej nie jest to takie proste. I ze względu na to przemierzanie dokumentu z fikcją, co prezentuje sztukę, i ze względu na zawartość tak dobrze znaną. Reżyser zadawał sobie z pewnością pytanie, czy scena w ogóle udźwignie ten ciężar, a skoro już musi, to za pomocą jakich narzędzi? Z tego materiału p. Skotnicki próbował zbudować kompozycję zwartą, ścisłą, urealniał sen, wahał się jakby między konkretyzacją dokumentu a podniosłym obrazowaniem utworu. Pokazał jednak to, co należało wypuścić. Dążenia do umiaru, prowadzenie spektaklu bez udziwnień i makabreski z wybijaniem toku refleksyjnego, te zalety warsztatu zdradzały terminatorstwo reżysera w szkole axerowskiej. Jeśli nie zabłysnęły tutaj w całej okazałości, trzeba to spisać między innymi na karb małego doświadczenia, a także uprzedzonego w tym teatrze z konieczności stylu gry aktorów, opartego na doświadczeniach wyrazu, gestu, ruchu, mimiki. Z lekiem oglądając część pierwszą, ułożoną w izbie lekarskiej obozu, włożonej w ściemnione, stalowobrazowe kołory z zawieszonym z prawej strony portretem Anonima-Mieczennika (maska okolona drutem). Ten akcent plastyczny pozostaje przez cały czas, pięcioletniac milczenie symbolu, sprzągając (również muzycznie) plan retrospekcji z planem bieżą-

cym. Otóż moje obawy dotyczące możliwości wskrzeszenia iluzji, która powinna w tym wypadku nie tylko obrażać, ale i być syntezą grozy. Gdyż to, co się tu dzieje, jest gęstsze i tragiczniejsze od najsmielszej imaginacji, bardziej niż prawdopodobne niż prawdziwe. Aby to oddać, trzeba innego aktorstwa, aktorstwa Jaracza... Ba! W konwencji, którą się posłużono, przyjmowało się to z pewnym oporem. Ale na tej niebezpiecznej drożynie utrzymała się pewnie p. Danuta Cwynarówna (Marta), grając prawie wyłącznie twarzą to samo powiem o Milenie (p. G. Kor ska) i Hance (p. J. Derżyńska). Bogata tekstowa rola Susanne zezwoliła p. K. Wodnickiej na uruchomienie większej skali środków.

Zachodząc do tego teatru, nie mogę pozbyć się przeświadczenia, iż przestroż, na jakiej muszą poruszać się ci aktorzy, zwłaszcza ta w dalszym „terenie”, kępuje ich swobodę ruchów. Są jakby wciąż powstrzymywani w rozpędzie, soptani w swoich reakcjach. Gra na takich skrawkach powinna z czasem przekształtować coraz subtelniejszy, kameralny styl gry. Wy maga on jak wiadomo więcej i więcej się bezprzeprze nie z bardziej wyrobionym kulturalnie widzem. Chociaż już coś z tego stylu mamy w tym spektaklu: to oerowanie maską jako nieomal jedynym przekątnikiem postaci. Być może, że rozgrzywanie tej rzeczy w konwencji snu, narzuciło takie ujęcia. Nie byłoby to dziwne — w kosmarnym śnie, w takim jak ten, widzimy raczej tylko twarz, wylawiane z otchłani pamięci światłem wspomnień, a w teatrze — światłem lampy i reflektorów. I tak było.

Wreszcie o twarz p. M. Frą-Patyńskiej. Jej Sara Röder miała tylko twarz. W pierwszej części jeszcze jej nie widzieliśmy, jeno tył głowy, wyzierający spod koca. Ta ocalała przed gazami i to ta odkrywa dopiero w trzeciej części swą fizyczność. Odkrywa i swoją tragedię, która zaczęła się przed komorą. Życie minione i życie bieżące wiążą się w nierozdzielny węzeł. Patrząc na twarz aktorki kredową czy spopielałą, zmarszczoną wokół oczu, skamieniałą, piekącą jakimś skomplikowanym wymiarem, trudno dobrać, czy jej bohaterka rozpierała ów węzeł. P. B. Olaszka jako jej córka niewłaściwie nateża swoim koturno-patetycznym wcieleniem ten cichy nokturn finału. Do tego nastroju dostosował się p. E. Łowicki, jej odcień. Nie chciałbym, żeby moja córka zobaczyła te twarze. A może trzeba ciągle budzić śpiących?

Teatr Ziemi Łódzkiej: Zofia Piętkiewicz-Malanowska, „Śpiących nie budzić”, reż. Jan Skotnicki, scenograf. Ewa Nahlik, polska prapremiera.



„STO JEDENASTO DNI LETARGU”

Otrzymałmśmy jeszcze jeden pamiętnik obozowy, wspomnienia Adama Grzymały-Siedleckiego z „Pawłaka”. W literaturze pamiętnikarskiej z czasów wojny obowiązuje na ogół schemat — mordercy hitlerowscy, okrutni, dyblący ciągłe na życie więźnia, pęgnący gnębić go zawsze i za wszelką cenę, a z drugiej strony — ofiary, na ogół bez skazy, wyczerpane, zagłodzone, zbite i zabijane. Nie ma w tym kłamstwa, ale ilekroć czytałem takie pamiętniki, wywołano we mnie uczucie niedosytu, niedosytu wiedzy o jednym i o drugim.

Zupełnie inne są moje wrażenia po przeczytaniu książki Grzymały-Siedleckiego. Nie szczędzi on nikogo. Przede wszystkim pokazuje podszewkę okrucieństwa zbrodniarzy hitlerowskich. Kaci Pawłaka to ludzie dobrani w spo-

sób szczególny — pijacy, narkomani, degeneraci. Posiadają oni specjalne predestynacje do działalności, jaką im powierzono w systemie zborowego mordu. Autor gromadzi masę zda wań by się mogło nieistotnych szczegółów, które charakteryzują opisywane postaci w sposób pełniejszy, niż u innych pamiętnikarzy. Autorowi wypadło przebywać również w towarzystwie wybitnych intelektualistów, działaczy państwowych, wojskowych i zwykłych prostych ludzi. I znów autor posługuje się szczegółem, na który składają się wspomnienia zarysowane sylwetki. Kiedy trzeba, autor — człowiek bywały — sięga w przeszłość, by pokazać swoich bohaterów w sposób pełniejszy.

Można się nie zgadzać z niektórymi uwagami autora, ale trudno byłoby odłożyć tę lekturę obojętnie. Wydaje się ona godna polecenia, nie tylko dla czytelników uwielbiających pamiętniki, lecz może przede wszystkim dla pisarzy, którzy chętnie wracają do okupacyjnej przeszłości. Od tego autora można się wiele nauczyć, przede wszystkim wnikliwości obserwacji i oceny postaw bohaterów wobec największego niebezpieczeństwa — śmierci.

JHW

Adam Grzymała-Siedlecki

Ki „Sto jedenaste dni letargu”. Wyd. Literackie, Kraków, 1965 r., cena 18 zł, str. 219.

„PRAWO MORZA”

Piękna książka hinduskiego pisarza przepojona liryzmem i — można to tak określić — pełnym urzekającym prostotą doświadczeń ludów pierwotnych. Nie ma w tej książce zbędnych słów, a każde, które jest, posiada swój ciężar gatunkowy, jest wyczelowane i prze-myślane, spełnia ograniczoną rolę w zakresie treści i pięknego brzmienia frazy.

Opowieść o życiu rybaków z wybrzeża Kerala (gdzie autor urodził się i wychował) spełnia jakby podwójną rolę: utrwalia przemiłującą już urok starych obyczajów i zasad współżycia między ludźmi i między ludźmi a morzem, podlegającą niszczycielskiej sile wpływów obcej na tym gruncie cywilizacji oraz ukazując bezsens i okrucieństwo owych obyczajów, przejawiające się przede wszystkim w przedziałach kastowych, które okazują się jeszcze nie do przebycia. Ciekawe, że opowieść o nieszczęśliwej miłości dwójga młodych, rybaczki i mahometanina, kończy się ich śmiercią, a więc zwycięstwem, oprócz przegród kastowych, także odwiecz-

nego prawa morza: karzącego wiarołomną żonę. Dlatego gnie podkasz burzy na morzu i maź niewiernej, która nie chce i nie może się modlić do bogini morza o jego szczęśliwy powrót z połowu. Czystość kobiety jest bowiem gwarancją bezpieczeństwa męża. Czystość i wierność kobiety stają się tutaj wartościami o zabarwieniu metafizycznym, a jednocześnie realnymi, podstawowymi kanonami życia na co dzień. Autor pozostaje całkowicie pod ich urokiem.

K. W.

Thakazhi S. Pillai „Prawo morza”. PIW, Warszawa, 1965 r., Cena 12 zł.

AZYL ARTYSTY

Peter Weiss jako pisarz debiutował niedawno, dopiero w r. 1960. Jego pierwsze książki są wyraźnie autobiograficzne. Od razu jednak objawiła się w nich pisarska wielkość. Pisarstwo Weissa tkwi głęboko w kulturze niemieckiego mieszczaństwa. Tradycje od Goethego, do Manna wyraźnie zadziały nad dwoma wydanymi ostatnio przez PIW powieściami „Ucieczka z domu rodzinnego” i „Azyl”. Podstawowy konflikt prozy Weissa jest nam znany od dawna i w wielu wersjach. Jest to konflikt między zbuntowanym artystą i mieszczaństwem,

Wywodzi się on niewątpliwie z pierwszych lat naszego stulecia i jak o tym świadczy obłe powieści, jest ciągle żywo. Bohater wychowywany jest w środowisku dość typowym — ojciec jest ciągle dorabiającym się handlowcem. Styl życia jego środowiska, pelen rygorów, ograniczeń indywidualności, określonych wartości ustalonych raz na zawsze przez konieczność dorabiania się, sprzyja niwelowaniu wszelkich odstępstw od raz orzyczonego wzoru. Ale jednocześnie powoduje nierozwiązalny konflikt między mieszczaństwem, a jednostką już nawet nie tyle obdarzoną wielką indywidualnością, ale po prostu mającą odwagę żyć nieco inaczej.

Problemem, przed którym staje autor, nie jest wybór stylu życia. W ramach społeczności mieszczańskiej nie ma tego wyboru. Sprawa najważniejsza staje się stworzenie nowego modelu własnego życia. Bunt jest tylko wyłanianiem się z tej społeczności. Z chwilą, gdy się uzyskuje wolność, trzeba sobie życie stworzyć tak, jak dzieło sztuki.

Obłe powieści są historią owych daremnych poszukiwań. Człowiek uzdolniony może sam decydować o własnym losie. Ciągłe go szuka, czuje, że w tej dziedzinie może coś zrobić. Jednak jedyną szansą twórczości jest ciągły bunt.

W środowisku mieszczańskim jego twórczość ma swój sens. Odrwana od niego staje się tylko zabawa. Podstawowy dyalekt, z którym męczy się bohater w obydwóch powieściach, to albo tworzyć przeciw mieszczaństwu, albo stracić cały sens własnej twórczości.

Jest to dyalekt, którego nie można rozwiązać, można go tylko odrzucić, można poszukać wyjścia poza nim. Sukces Weissa kryje się w jasnym postawieniu owej problematyki. Dla wielu pisarzy wyjście poza ów dyalekt wydawało się niemożliwe. Weiss ukazuje konieczność odrzucenia go. Sprawa nie jest rozwiązana do końca. Odrzucić, ale na rzecz czego? Na odpowiedź jednak musimy poczekać do jego następnych powieści.

J. P.

Peter Weiss: „Ucieczka z domu rodzinnego”. Azyl. PIW, W-wa, 1965, cena 18 zł.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jadwiga Chmielec — ZELAZNE WROTA, Czyt., cena 14 zł.

Adam Grzymała-Siedlecki — STO JEDENASTO DNI LETARGU, WL, cena 18 zł.

Jan Józef Szczepański — CZARNE I BIAŁE, WL, cena 12 zł.

Czesław Kurlita — PO WRÓT KSIĘCIA ERYKA, W. Poz., cena 12 zł.



Fot. W. Kraska

WACŁAW BILIŃSKI

Jeszcze raz o Działoszynie

Zaczniemy ab ovo. Działoszyn nad Wartą jest niezwykłą osadą: stara, deskami zabita miejscina od paru lat żyje w przedziwnym symbiozie z ogromnym zakładem przemysłowym, który, jakby dla udowodnienia jakieś to dobrodziejstwo niesie z sobą industrializacja, „zafundował” osadzie prócz tzw. „stanowisk pracy”, o które w tym terenie nadwyżek siły roboczej było rozpaczliwie trudno, również przepiękne osiedle, nowoczesny zespół pawilonów handlowych, nawet hotel i ośrodek sportów wodnych jakby żywem przeniesiony z nad Morza Czarnego. Wreszcie ogromny, choć mało wykorzystany Ośrodek Zdrowia — no i restaurację (wcześnie, wcale), o wiele zapowiadającą nazwie „Kosmiczna”.

Tak więc osiągnięcia Działoszyna — że zacytujemy określenie miejscowych władz — „w zakresie tzw. bazy” mogą naprawdę imponować. Gorzej jest z „nadbudową”:

miasteczko żyjące z osiedlem wciąż jeszcze jakby w separacji mało się sprawami kultury zajmuje: np. w sklepie monopolowym utarg miesieściowy wynosi ponad 250.000 zł. W klubo-kawiarni, która zrazem prowadzi kolportaż książek, sprzedaje się ich za około 300 zł miesięcznie. Proporcja, która mówi sama za siebie.

W osiedlu, zamieszkałym przez pracowników Cementowni „Warta”, sytuacja jest może i nieco lepsza — ale i tu „nadbudowa” przez lata cała była traktowana jak przysłowiowy Kopeciusek.

I oto ten właśnie Działoszyn — malownicze kamieniolomy i pięce wapiennicze, dolina Warty z rezerwatem przyrody w Weżach, a także miasteczko z renesansowym, piętystycznie odbudowanym pałacem, atrakcyjne nowoczesne osiedle i kompleks architektury przemysłowej cementowni — właśnie więc tak w ostatnich latach „przewarto-

ściowana” osada stała się terenem ciekawego eksperymentu: pisaliśmy o nim, przypomnijmy więc tylko, że z inicjatywy Wydziału Kultury PWRN, WKZZ i ZPAP tam właśnie zorganizowano dla 20 łódzkich malarzy plener, którego pokłosiem stała się ekspozycja 66 prac powstałych z tak niezwykle mecenatu. I jest to nie finał, a dopiero początek ciekawej inicjatywy. Bowiemy, po pierwsze, dziwne rzeczy dzieją się wśród działoszyńskich. Fakt, że o ich osadzie mówi cała wystawa malarska — ten niezwykle fakt nagłe skupił uwagę działoszyńskich na sprawach kultury. Ujawniła się więc i plejada miejscowych tzw. „malarzy niedzielnich”, głośno zaczęło mówić o potrzebie przyłączenia młodzieży do współzycia z dziełem sztuki, energiczniej zaczęło się domagać inicjatyw kulturalnych, odrzucono nawet z zapomnienia jakieś dawne tradycje miasteczka — sięgające epoki Reformacji i Oświecenia.

A w Cementowni dyrekcja, która i tak ma zapewne mało trudnych problemów do rozwiązania, rozpatruje możliwość utworzenia pierwszej w województwie przyzakładowej galerii sztuki.

Pomysł wydaje się nowatorski i arcypożyteczny. Jest to zarazem działanie — o co w naszej polityce kulturalnej tak trudno — obliczone na daleki dystans, działoszyński chłoporobotnik (wybaczenie mi proszę ten językowy nowotwór) będzie musiał jeszcze przez długie lata uczyć się

współzycia z dziełem sztuki, ale już dziś na tej drodze uczynił pierwszy krok. I to jest oczywistym sukcesem organizatorów tej pozytywnej imprezy.

Wreszcie odnotujmy jeszcze pewien znamieny fakt. W uroczystości otwarcia wystawy wziął udział i sekretarz KW PZPR, tow. Stefan Jędraszczak i w swym inauguracyjnym przemówieniu podkreślił rolę sztuki w kształtowaniu postawy człowieka współczesnego. Piszemy o tym nie dla zadośćuczynienia wymogom konwencji. Nasz tzw. „teren” gospodarczy i polityczny przywykł, iż tego rodzaju wystąpienia wyznaczają kierunki działania, sygnalizują problemy największej wagi. Wiemy wszyscy, iż w przeszłości były to niemal wyłącznie problemy ekonomiczne. Fakt, że władze partyjne i administracyjne w Działoszynie równą wagę nadały wydarzeniu kulturalnemu sprawił ogromne wrażenie, zresztą nie tylko w Działoszynie: już dziś mówi się o podobnych inicjatywach w innych wielkich zakładach przemysłowych naszego województwa. Kto wie, może oznacza to nową, dobrą koniunkturę dla polityki kulturalnej.

Waldorff Wspaniałe w swych świetnych felietonach ma zwyczaj przy takiej okazji wygłaszać piękne i naturalnie brzmiące sentencje pochwalne na cześć władz-mecenasów. My, bojąc się, iż zrobimy to niezrecznie, zakończmy skromnie: oby nam więcej takich Działoszyń!

KRONIKA



ZAPISKI MAJORA PYCIA

Niewiele pamiętam z „Generata Barcza”, jeszcze mniej z „Mateusza Bigdy”, najtrwalej zadomowiły się we mnie wrażliwość młodego czytelnika „Lenora” i „Tadeusza” i to jako właśnie powieści protestu społecznego, choć przez długie lata po tej wojnie dyskwalifikowano twórczość Kadena-Bandrowskiego jako pilsudczykowską, a nawet faszystowską, na co miały wpływać, jak utrzymują rzeczoznawcy, prywatne powiązania pisarza i jego osobista, eksponowana pozycja. Zapomniano nawet o tym, że go tłumaczono i wydawano w Związku Radzieckim i widocznie nie bez kozery. Uważano prawdopodobnie, iż demaskuje stosunki w młodym państwie polskim.

Styl naturalistyczno-ekspresyjny, barokowy, naszpikowany brutalizmami, powolne rozwijanie sytuacji — nie każdego i dziś zachęcają do książki wybitnego pisarza dwudziestolecia. W dodatku — fikcja sprzęgnieta z elementami z rzeczywistości, zabiegi cieniujące znaczenie i dopełniające portrety psychologiczne, mitologizacja i demonizacja przy jednoczesnym upraszczaniu.

Dlatego nie jest bezpieczną czynnością dobieranie kluczy — o, paradokse — do tych powieści z kluczem. To o Bigdzie pisał Kazimierz Wyka: „Jego Mateusz Bigda ma tyle wspólnego z rzeczywistym Witosem, co noszona w pochodach kukła z fotografią...”

Rzeczywistość chwyta na gorąco (Leon Pomorski: „Barcz był obrazem mocowania się autora z płynnym żywiołem in statu nascendi...”) inaczej też wygląda niż dziś z perspektywą, gdy stała się historią, kiedyś łakniemy raczej takich opracowań przeszłości, jak książka Andrzeja Mieczewskiego „Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej”. General Barcz jest więc Pilsudskim i nim nie jest. Montaż z powieści, uruchamiającej skomplikowane przeciwie mechanizmy, przedstawiony przez TV, stał się całkowicie szopką polityczną, przyczyniło się do tego i wyestetyzowane potraktowanie zewnętrznego wyglądu bohaterów powieści. Szopka jednak ma to do siebie, że bardziej przekonuje, gdy się aktualnie i na huczaco wraca do wydarzeń, budzi zaś zupełnie rozczarowanie, gdy przedstawia w szopkowy sposób zastępną przeszłość, w tym wypadku przeszłość z lat 1918—1920, afery i zamachy stanu.

„Zapiski majora Pycia” niezbyt nawet wydają się do najważniejszych: bezprogramowość obzoku Pilsudskiego, gorączkowe szukanie owego lepidia czy lepiszcza w państwie, które na nowo budzi się do suwerennego życia bez doświadczeń instytucjonalnych i społeczno-politycznych i będzie musiało walczyć przede wszystkim o wszechstronną integrację trzech zabobów, co w końcu stało się historycznym i jakże doniosłym faktem.

Czy przedstawienie „Jako takie” było ciekawe? Oczywiście, pytanie zadaje sobie samemu. Otóż nie bardzo. Czuło się, że to raczej montaż niż zrytmizowana całość. Aktorsko wypadło dobrze, ale w piszącym te słowa utrzymała się właściwie jed-

na tylko scena: rozmowa generała Wilde z buchalterem Fedkowskim, którego grał Włodzisław Gliniński. Znakomita scena, pyszna. Dwie postacie szczególnie wyróżnili: majora Pycia i generała Krywulę. Aha, jeśli chodzi o sceny zbiorowe to bankiet, owa kawalerska jazda na wyimaginowanych koniach.

Suchanie materiałów widowiskowych w dziełach prozy polskiej świadczy o rozsądnym ambicjach. Również i w wypadku utworów nowelistycznych, jak na to wskazywał przykład „Chłwu” Strykowski. Ale szczerze optowalibyśmy za szerszymi dyskusjami po większych przedstawieniach, o czym pisałem z okazji „Elektry”. By utrwaląc spektakle i by do kształcać nas, widzów.

I oto: udała się inauguracja Trybuny Telewizyjnej zarówno w sensie podchwywania tematu jak i jego przedyskutowania. Oczywiście „Popioły”. Inna sprawa, że dyskusja jaka nie ma żywiołowo rozpętała się ex re filmu świadczy o ubóstwie spraw poddawanych publicznej dyskusji. Jesteśmy więc niewyżyci. Stosunek prawdy filmu do prawdy dzieła Zeromskiego, a więc stosunek polskiego reżysera do polskiej historii. Sądzę, że przewagę uzyskali profesorzy: Jan Z. Jakubowski i St. Herbszt. Głos prof. Jakubowskiego wyjątkowo trafiał w sedno sprawy.

Ale cokolwiek zwichrzyłem kolejność telewizyjnych programów. Przeto: młodzież z wyższych klas szkół podstawowych otrzymała z Łodzi doskonałe zinterpretowany monolog pt. „Ucieczka”. Zawierał on wyraźne akcenty dydaktyczne i przy tym do końca skupiał uwagę.

Kilkoma apokryfami, przygotowanymi przez Wrocław, przypominano nam twórczość znakomitego pisarza czeskiego Karola Čapka. Aktorzy nie urolili z subtelnych dowcipów i mądrości „Księgi apokryfów”. Konferansjerka powtórzyła pięć wybranych tekstów w zwiartą całość, było to jedno z udanych przedstawień telewizyjnego teatru, nacechowane kulturą i smakiem.

Któż z nas nie jest dużym dzieckiem podziw? Któż, oprócz ludzi młodych, którym za wcześniej do tego się przyznawać? I ja i pan Malinik z zapartym tchem, w tym wypadku to nie obowiązywał zwrot retoryczny, siedzieliśmy „Tajemnicę zamku Edelsberg” aż panna Zosia Bąk przez cały czas ironicznie tyrkała i demonstrowała nie wrzucała okraglonych ramionami, ale na opuszczenie pokój jakoś nie potrafiła się zdobyć!

Spotkanie z Zofią Rysiwną to spotkanie jakże wzbogacające przeżycia teatralne. Świetna aktorka w wielkim repertuarze. Słuchając, marzyłem momentami o usłyszeniu liryków Słowackiego. Interesowało mnie poza tym, czy partner wyimaginowany — a w tym cyklu z takimi mają „do czynienia” aktorzy — to dodatkowa trudność?

Za wcześniej, rzecz jasna, na uwagę o „Wojnie domowej”, której to serii z zaciekaowaniem oglądaliśmy pierwszy odcinek. „Spóźnieni przechodnie”? Po przeżycieczu początkowych trudności, jakoś wszystko się rozkręciło i zrobił się sympatyczny rozgadiaz. Tylko po co było miłe zwierzęta drażnić właśnie fragmentami z Wyspiańskiego, po co w ogóle drażnić zwierzęta? Wspaniały wleczur zachowywał się godnie, dając Wojciechowi Siemionowi dobry przykład. Wszyscy uczestnicy byli ubrani współcześnie, tylko p. Lucyna Winnicka występowwała w jakiejś długiej szacie. Może to z „Faraona”?

Jan Huszczyński

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Film posiada wielką i nieodpartą — jak żadną z dotychczas istniejących sztuk — moc wskazywania przeszłości. Magia ekranu, jego fotogeniczność sprawia, że prezentowane przezeń obrazy budzą przeszłość żywą, jesteśmy w czasie projekcji świadkami dokonywania się jej raz jeszcze, na nowo, na naszych oczach. W filmie możemy zobaczyć i usłyszeć osoby, które już dawno nie żyją, obserwować wydarzenia, które rozegrały się przed latami, przed dziesiątkami lat. I dlatego lekcja historii, jaką jest w stanie dać film dokumentalny, wstrząsa widzem wyjątkowo mocno. Owo odkrywanie na ekranie przeszłości okazało się tak pasjonujące i atrakcyjne dla szerokiego rzeszy odbiorców, że problematyka ta, i to w opracowaniu dokumentalnym,

wkroczyła także na teren filmu pełnometrażowego. Filmy tego typu smiało mogły rywalizować z filmami fabularnymi. Do tego rodzaju należy film „UMRZEĆ W MADRYCIE”. Zmontowany został z fragmentów filmów dokumentalnych ukazujących wydarzenia w Hiszpanii lat 1931—1939. Zaczyna się suchą, ale jakże wymowną statystyką, której towarzyszą przepiękne widoki. Hiszpania 300.000 km kw., 24 miliony mieszkańców. 20 tysięcy bogaczy i 20 milionów biednych. Niekiedy posiadają całe prowincje. Ale tych jest niewiele. Miliony chłopów to właściciele kilku akrów. Przeciętny zarobek robotnika osiąga dziennie wysokość, za którą można kupić trzy bochenki chleba. Blisko 100 tysięcy księży, zakonników i zakonnic. Wojsko, generałowie. A na

szczyście społecznej drabiny król Alfons XIII. Oto Hiszpania anno domini 1931, w której historia rozegra w najbliższych latach jeden z najbardziej krwawych dziejowych dramatów. Akt I tego dramatu rozpoczyna obalenie monarchii. W wyborach 1931 roku zwycięża lewica i król Alfons XIII zmuszony jest abdykować. Hiszpania Republika! Akt II — w Hiszpanii narasta: faszyzm, przybiera na sile i agresywności. Wzrasta opór ludu, 1934 rok — powstanie robotników w Asturii. Akt III tego dziejowego dramatu jest najbardziej okrutny. To wojna domowa lat 1936—1939. W wyborach 1936 roku zwycięża front ludowy. Wojskowy bunt generała Franco. Autonomia Basków i Katalonii. Walka bratobójcza, która pochłonięła milion ofiar. Jawna pomoc Mussoliniego i Hitlera

dla hiszpańskich faszystów. Złowroga neutralność reszty Europy. Bohaterskiej, ludowej, republikańskiej Hiszpanii przychodzi z pomocą Związek Radziecki i ludzie innych krajów, którzy w batalionach ochotniczych przybywają walczyć przeciwko faszystom. Wydarzenia historyczne relacjonowane są krótko, oszczędnie. Na żadne zdobnictwo nie było tam miejsca ni czasu. Wiele z tych, którzy zbierali te materiały, przypłaciło to życiem, im to — poległym dziennikarzom i reporterom filmowym poświęca się „Umrzeć w Madrycie”. Ten film pozwala zrozumieć bolesny, przynajmniej i przeżycia tragedii historii. Odsłania prawdę o ludziach i sprawach tamtych czasów, czyni ich bliskimi.



Film D. Tessariego „PRZYBYCIE TYTANÓW” to farsa oparta na motywach z mitologii. Jej urok polega przede wszystkim na braku pretensjonalności towarzyszącej zazwyczaj nieodłącznie supergigantom. Tessari ma na szczęście poczucie rzeczywistości, doskonale opanowanie rzemiosła kinematograficznego i tak ujmujące w tym filmie poczucie humoru. „Przybycie tytanów” przypomina znany z historii truizm, że kino narodziło się

jako rozrywka jarmarczna. Tych dawnych pokrewieństw film Tessariego wcale się nie wstydi. Postać głównego bohatera filmu — tytana Kriosa wymagała od odźwiórzy akrobaticznej niemal sprawności. I faktycznie — widzimy G. Gemmę w sytuacjach łacie cyrkowych. To jeden z przejawów widowiskowości, której w „Przybyciu tytanów” wszystko zostało podporządkowane. Są także efektowne zapasy niewolników, walka z bykiem i gonitwy. Jest targ niewolników i ceremonialne obrzędy religijne. Jest kolekcja bogatych strojów i przepychy zamku królewskiego. Jest morze i bajeczne skały. A wszystko w kolorach i na szerokim ekranie. Oko ma spożnać nie tylko na czym, ale i na kim. Szczególnie bogata jest w tym filmie kolekcja skapo ubranych mężczyzn, prezentujących dumnie swe kulturowe kształty. Ze szczególną, lecz dość perfidnie odzianych kobiet naj-

bardziej eksponowane są Jacqueline Sassard i Antonella Lualdi. Film jest zabawny, z wielu sytuacji można zebrać się pośmiać. Kapitalny był pomysł Leckiego i barwny, film „Przybycie tytanów”, jest dzięki nim doskonałą rozrywką.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

FRANCISZEK MAURIAC

Popularny w Polsce autor „Klebowiska żmij”, „Teresy Desqueyroux” (sfilmowana) i wielu innych obchodził niedawno 80-lecie urodzin. Z tej okazji udzielił on wywiadu, w którym podzielił się wspomnieniami o wielu współczesnych mu, przeważnie już nieżyjących pisarzach. Mówiąc o Maurycym Barrès (który od kultu jednostki i ziemi przeszedł w swej twórczości i polityce do nacjonalizmu), Mauriac wspomina, że Barrès bardzo wysoko ocenił jego de-

biut literacki (był to tom wierszy Mauriaca „Złazzone ręce”, który ukazał się w 1909 roku). Mauriac podziwiał Barrès, pod którego wpływem pozostawali wówczas tacy wybitni młodzi pisarze, jak Montherlant, Malraux, Aragon. Mówiąc o nacjonalizmie Barrès podkreślił Mauriac z naciskiem, że był to nacjonalizm zupełnie innego rodzaju niż ten, który zarzuca się obecnie na przykład prezydentowi de Gaulle'owi. Ponadto Mauriac opowiedział o swych kontaktach z Proustem, Claudellem, Cocteau, Malrauxem i Gide'em.

mi, wyprowadza swych uczniów z klas na łąki (co na owe czasy było rewolucją) i zamiast abecadła i tabliczki mnożenia wtajemnicza swych wychowanków w życie kwiatów, owadów i ptaków. Nie przerywając studiów Fabre zdobywał tytuł wykładowcy licealnego w Ajaccio na Korsyce, a następnie w Avinionie. Pierwsze książki młodego uczonego wzbudzały podziw Darwina, który nazwał Fabre'a „nieporównanym obserwatorem”, zaś genialny uczyony Ludwik Pasteur odwiedzał Fabre'a, żeby go poznać osobiście. W jakimś czasie potem minister wychowania publicznego powierzył Fabre'owi edukację syna cesarza Napoleona Trzeciego, ale namiętność naukowa i żądza poznania do głębi tajemnic natury skłaniającego do porzucenia intratnego stanowiska i powrotu na prowincję, gdzie może być bliżej natury. Poświęciwszy się pracy popularyzacji wiedzy przyrodniczej Fabre zainicjował sukcesy autorskich. Jego małe książki popularizujące wiedzę przyrodniczą, jak „Opowiadania wujaszka”, „Książka pól” i in. są rozchwytywane. Pod koniec roku 1878 zaczynała wychodzić „Wspomnienia entomologa”, które w ciągu następnych trzydziestu lat urosła do liczby dziesięciu tomów stanowiących owoc pracy całego życia uczonego przyrodnika.

TEATR TO NIE APERITIF

Kenneth Tynan, wybitny krytyk angielskiego obszaru językowego, a od czasu utworzenia brytyjskiego Teatru Narodowego – jego kierownik literacki, udzielił nam miennego wywiadu, w którym stwierdził między innymi, co następuje: Utworzenie brytyjskiego Teatru Narodowego było projektowane już od 150 lat. Repertuar teatru miał

obejmować wyłącznie dzieła Williama Szekspira. Zadanie to jednak przejął utworzony Królewski Teatr Szekspirowski (Royal Shakespeare Theatre). Kiedy więc przed paroma laty w dawnym Old Vic Theatre został zorganizowany pod kierownictwem Laurence Oliviera brytyjski Teatr Narodowy postanowiono wykorzystać w jego repertuarze całą paletę utworów dramatycznych od Ajschylosa do Becketta. Moim zdaniem, istnieją dwa rodzaje teatrów państwowych: jeden, który można by porównać z Królewskim Dramatycznym Teatrem w Sztokholmie albo z Niemieckim Teatrem w Berlinie, które nastawione są głównie na klasyków, i drugi rodzaj, który zostały stworzone przez ludzi o poglądach rewolucyjnych, jak Stanisławski lub Brecht. Niestety, nie posiadamy tego rodzaju teatrów w naszym kraju. W Anglii było oparte na zasadach wolnego rynku: niektóre teatry były subwencjonowane przez różne instytucje społeczne i kulturalne. Teatr Narodowy jest pierwszym w Anglii w pełni subwencjonowanym teatrem. Dlatego mamy pewne kłopoty z naszymi artystami, reżyserami i krytykami, których musimy przekonywać, że nasz Teatr Narodowy nie jest obliczony na zwisk tylko – stworzony dla ludzi. W naszych krajach (socialistycznych) tzw. repertuar klasowy należy już do przeszłości; my, w Anglii, jesteśmy jeszcze pod tym względem niedoświadczeni

ni i musimy się uczyć od was. Przed czterdziema laty z czterdziestu londyńskich teatrów jeden tylko grywał sztuki sordez roku 1950. Wszystkie pozostałe grywały jedynie komedie, farsy i komedie muzyczne. I tylko jeszcze nasz Old Vic Theatre starał się wyśtawiać sztuki klasyczne i innych narodów. Widzimy więc nasze zadanie, polegające na przetransmisji mostu od teraźniejszości do przeszłości i zapoznanie naszej publiczności z dziedzictwem kulturalnym narodów całego świata. Traktuję moją pracę jako służbę społeczeństwu i dlatego uważam, że niezbędne zdobycie dla brytyjskiego Teatru Narodowego nowej publiczności. Dla większości angielskich białych teatrów teatr był dotychczas aperitifem ułatwiającym trawienie. My chcemy z tym skończyć i odejść od publiczności mieszczańskiej, odwrócić się od niej. Problem jednak polega na tym, że bilety do teatru są za drogie dla ludzi pracy, studentów i innych ludzi, którzy chcieliby chodzić do teatru. Ponadto będziemy organizować grupy złożone z aktorów i reżyserów, których będziemy kierowali do szkół i zakładów pracy, żeby spośród tych środowisk werbowali nam nowych przyszłych byłych teatrów.

NOWA POWIEŚĆ SAGANKI

Tytuł nowej powieści Franciszka Sagana „La Chamade” jest trudny do przetłumaczenia; słowo to oznacza bicie w bęben na znak poddania

się, kapitulacji. Środowisko w „La Chamade” to, jak w poprzednich powieściach autorki „Witaj smutku”, środowisko rozpróżnionych Francuzów. Surowa na ogół re-



cenzenta tygodnika „Les Lettres Françaises” Anna Villelaure jest zdania, że nowa powieść Saganka świadczy, że autorka wstępuje w okres dojrzałości pisarskiej, zaś „La Chamade” jest utworem okresu przejściowego w rozwoju pisarki. Również styl wydaje się recenzytorce stylem przejściowym, w którym brak dawnych zwyczajów sformułowań, zdań tworzących plastyczne obrazy. A więc, Saganka w okresie ewolucji, w okresie łapania drugiego oddechu, drugiego stylu! Pisarka nie znalazła jeszcze tego drugiego stylu w nowej powieści „La Chamade”, niemniej, trzeba pochwalić, że nie soczysta na laurach swych dotychczasowych olbrzymich sukcesów, że jest w niej ciekawość ludzi i życia, która ją broni przed niebezpieczeństwem stagnacji.

POLONICA

POLONICA WIEDŹSKIE

Z okazji gościnnych występów warszawskiego Teatru Narodowego w wiedeńskim Burgtheaterze, prasa austriacka poświęca sporo miejsca omówieniu prezentowanych przedstawień: „Żywota Józefa” Reya i „Historii o chwalebny zmartwychwstaniu” Mikolaja z Wilkowice. W dzienniku „Die Volksstimme” ukazały się dwie, bardzo pochlebne recenzje, omawiające inscenizację Deimkowskiej tych sztuk. W galerii Towarzystwa Austriacko-Polskiego w Wiedniu odbywa się wystawa eksponatów sztuki użytkowej. Autorem wystawionych prac są Henryk Kubik i Anna Kramarz-Gruszyńska, oboje urodzeni w Łodzi. Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych.

MICKIEWICZ NA LITWIE

Jak podaje w swym numerze z 5. X. 65 r. wychodzący na Litwie „Czerwony Sztandar”, nakładem wydawnictwa „Waga” ukazała się książka M. Jastruna pt. „Adam Mickiewicz”. Jest to przekład na język litewski znanej u nas powieści o życiu naszego wielkiego poety, dokonany przez D. Urbasa. Dla Polaków zamieszkujących Litwę, jak i dla Litwinów, postać Mickiewicza jest szczególnie bliska, zważywszy na zadawane kontakty kulturalne tych narodów. Dotychczas nie było powieści biograficznej o naszym poecie, toteż książka Jastruna cieszy się dużym powodzeniem wśród czytelników republiki.

ANATOL STERN W „LITERATURNÓJ GAZETIE”

Organ Zw. Pisarzy ZSRR „Literaturnaja gazeta” w swym numerze z dnia 7. X. br. przynosi wywiad przeprowadzony przez R. Bielowską z Anatolem Sternem. Dowiadujemy się z niego, że Stern w chwili obecnej pracuje nad dwoma powieściami. Jedną z nich nosi tytuł „Historie z różnych wymiarów”, druga natomiast posiada charakter pamfletu i zawiera wspomnienia o spotkaniach poety z różnymi ciekawymi ludźmi. W dalszym ciągu wywiadu Stern opowiada o swych najbliższych zamiarach twórczych jak i o tomie prozy krytycznej „Poezja zbuntowana”, w którym wiele miejsca poświęcił Majakowskiemu.

O „WARSZAWSKIEJ JESIENI”

Tegoroczny, dziewiąty z kolei festiwal muzyczny „Warszawska Jesień” wywołal, jak i w latach poprzednich, żywe echa za granicą. Ukazało się w prasie europejskiej wiele korespondencji specjalnych wysłanników, którzy podkreślali zgodnie, że „Polska stała się centrum muzyki awangardowej w Europie”. W tygodniku paryskim „Les Lettres Françaises” (14-20 października 1965 r.) ukazał się obszerny artykuł Suzanne Demarques, w którym przeczytaliśmy wiele przemownych rzeczy o repertuarze „Warszawskiej Jesieni”, w tym również o utworach polskich kompozytorów i ich wykonaniu na koncertach. W artykule pt. „L'Autonne de Varsovie” znajdujemy także kilka ciekawych słów o samej Warszawie.

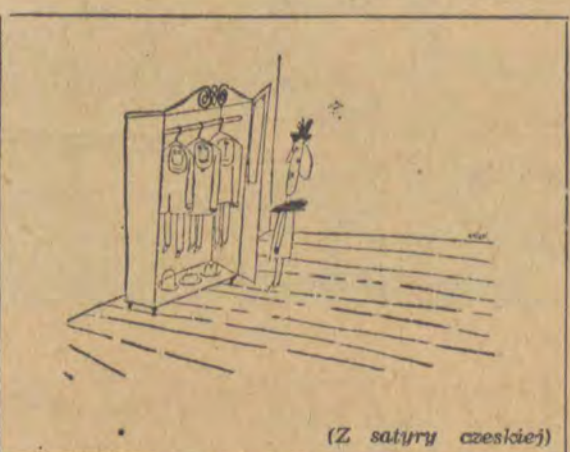
POLONICA



WSPOMNIENIA ENTOMOLOGA

11 października 1915 roku, a więc, równo pięćdziesiąt lat temu, zmarł we wsi Serignan w pobliżu Avinionu w wieku lat dziewięćdziesięciu dwóch wielki przyrodnik, światowej sławy entomolog Jean-Henri Fabre. Mało ludzi potrafiło tak kochać przyrodę, jak on ją kochał, a zwłaszcza niewiele potrafiło ją obserwować z taką cierpliwością i genialną intuicją. Nie kontentując się odkrywaniem jej i studio waniem (w ówczesnych czasach, kiedy studia nad historią naturalną były uważane za zajęcie niegodne umysłów wyższych) Fabre potrafił popularyzować przyrodę. Pozostawił po sobie wiele dzieł literackich, a także liczne rozległe prace piśmiennicze. Same tylko „Wspomnienia entomologa” obejmują dziesięć tomów, poświęconych głównie obserwacji zwyczajów panujących wśród owadów. Jego kochane owady! Niezłoty, niezłoty! Niezłoty, niezłoty! Bez żadnych szczególnych narzędzi poza notesem, lupa i małymi pudełkami, ale przy pomocy swego przenikliwego wzroku i cierpliwości i uczciwości uczonego, Fabre

odkrył przed uczniami i profanami fantastyczny świat zwierząt pól, łąk i lasów. Pracował pszczoła – murarz, świerszcz – skrzypek, żarłoczna żółć – krowka, wolek żółtawy, czerwony amator ślimaków i tysiące innych owadów wzięły mu sekrety swego urodzenia, życia, walki, rozmnażania się i śmierci. Urodzony w 1823 roku jako syn rolników, Fabre zmuszony był zarobkować od 14 roku życia, co nie przeszkodziło mu jednak chodzić do szkoły. W 19 roku życia otrzymał świadectwo pedagogiczne i zaczął wchodzić w życie, nowe metody szkolenia. Między innymi



(Z satyry czeskiej)

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK. Sztuka karmi się życiem, zachęca do życia, splanuje je w różny sposób. Nie zawsze wszelako zdajemy sobie sprawę, jak blisko bywała powiązana sztuka z dniem naszym powszednim, jak niepostrzeżenie wdziera się ona do ściepów, na wietrzny, do naszych domów, wyobraźni – kształtuje modę i smak. Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi jest uczelnią, która na niemały w tym względzie udział: za działalność pedagogiczną i prowadzenie katedry druku na tkaninie prof. Teresa Tyszkiewiczowa otrzymała nagrodę m.in. Kultury i Sztuki i stopnia, zaś prof. Stanisław Fijałkowski za działalność pe-

dagogiczną w zakresie podstaw kompozycji nagrodę II stopnia. Należy dodać, że wielu absolwentów PWSSP w Łodzi pracuje w naszym mieście, komponuje i projektuje tkaniny.

WTOREK. Dzień i jak o dzień radości, smutku, Zartaty się już w pamięci „dramatyczne epickie” skandalu w Ciochemerle, filmu o budowie pisuaru w małym miasteczku francuskim. Uroczystość to była nie lada: z galą i pompą, godną odświętnej przybiku o kolosalnym wpływie na kulturę (bycia). Frontalnie rzecz traktując, Teresa Tyszkiewiczowa otrzymała nagrodę m.in. Kultury i Sztuki i stopnia, zaś prof. Stanisław Fijałkowski za działalność pe-

idzie. O szarego człowieka raczej, o stan duszy jego, gdy w promieniu kilkuset metrów żadnego znaku. Żadnego śladu upragnionego kofka i trójkąta. Proszę brama są jeszcze lokale. Pięknotuchę spieszą do naszych gastronomii, których kategorie nie zawsze są zgodne z kategorią zapiecha. Mała rzecz, a wzruszenia estetyczne, np. przy zwiędaniu miasta i jego architektury, mocno utrudnione.

ŚRODA. Trudno oprzeć się trauistycznym i staroświecznym, że każdy skutek ma swoją przyczynę, np. odwrotnie. Do 15-letniego chłopca wezwano na pogotowie ratunkowe. Okazało się, że był on do nieprzytomności upojony alkoholem. Rodzice westchną ze smutkiem, pedagogowie, socjologowie, nawet Zöllmrukną: oto skutki braku zainteresowań (szkół) u młodzieży. Łódzkie Towarzystwo Fotografików zorganizowało wystawę prac członków ZPAF o tematyce: Sport i Turystyka.

Realistyczne i sugestywne ujęcia niewątpliwie mogą wszystkich niezależnie od wieku zachęcić do uprawiania sportu, którego atrakcyjność i piękno jest „powszechnie” znane, oraz turystyki, której urok i walory dydaktyczne znacznie przewyższają uciechy gastronomiczne. Sztuka polega na tym, żeby tego typu fotografię artystyczną zainteresować tych, którzy nie jeszcze nie interesują się Izba Wytrzeźwień i Pogotowie. Oto wpływ sztuk na przyczyny.

CZWARTEK. Szeroka sieć klubów „Ruchu” wypełnia powoli luki kulturalne w województwie oraz zaspokaja najprostsze potrzeby rozrywkowe – towarzyskie młodzieży. Jak na początek – wiele. Od klubów w większych ośrodkach, z tradycją i stażem wymagają się nieco więcej. Z zadowoleniem można wskazać kluby, które realizują swoje ambicje i możliwości. Szeroką ciekawą kolekcję, spotkań autorskich i przyzwolice pomysłówanych ekspozycji pla-

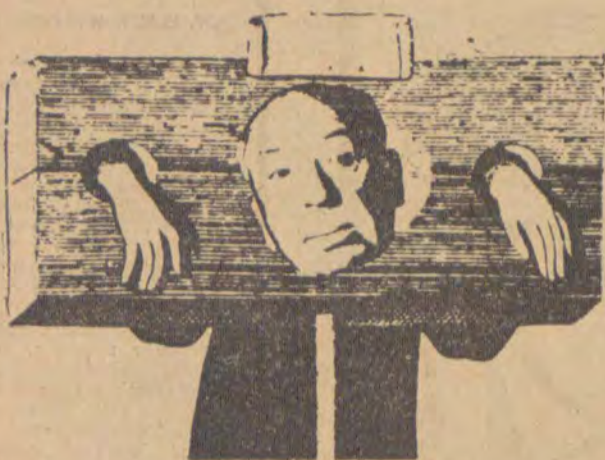
stycznych zrealizował klub „Hermes”. Spotkaniami, prelekcjami, a nade wszystko wyjątkowo miłą atmosferą mogą się pochwalić organizatorzy Klubu „Fafik”. Klub Dziennikarzy spełnia osobną i ze zrozumiałych względów ambitną rolę, a imprezy, spotkania i ekspozycje Klubu stają się wydarzeniami kulturalnymi w Łodzi. Obecnie jest wystawiana ciekawa malarsza Ireneusza Olszewskiego.

PIĄTEK. „Reklama jest dzwignią handlu”. Siły ogłoszeniowe są dzwignią plakatów. Polski plakat jest jednym z lepszych w świecie i mógłby być szerzej udostępniony i jako dzieło, i jako środek informacyjny w Łodzi. Również brak tygodniowych repertuarów teatralnych (afiszów) zawęży i utrudnia możliwość zaplanowania pójścia na spektakl; a skądże na spektakl afisz kinowy – orientację w obszarze aktorskiej, reżyserskiej itp. To samo dotyczy tzw. występów gościnnych, a nawet imprez sportowych.

Dobrze rozwieszony afisz jest elementem dekoracyjnym miasta, a nie odwrotnie.

SOBOTA. Godz. 21. „Jazz i poezja przy świecach”. I znowu „Klub Dziennikarzy”, lecz niepodobna przeoczyć tak uroczystej imprezy. Dobra recytacja dobrego wiersza, ciekawe nagrania orkiestr jazzowych, złożyły się na interesującą biesiadę poetycko-muzyczną przy świecach.

NIEDZIELA. Muzeum Sztuki. Już nie wystawa, a prelekcja: mgr Janina Ojzyńska – o Józefie Simmlerze, artyście zapomnianym, którego dwa obrazy znajdują się w Muzeum Sztuki w Łodzi – mówi: Simmler był pierwszym artystą polskim europejskiego, po Matejce, na terenie Warszawy. Portrecista z okresu pozytywizmu, intymnym malarzem arystokratów i wzbogconych przemysłowców. Jeżeli projektowany jest cykl tego typu prelekcji, to wyjdą z zapomnienia duchy artystów: szkoda, że tylko malarzy.



Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

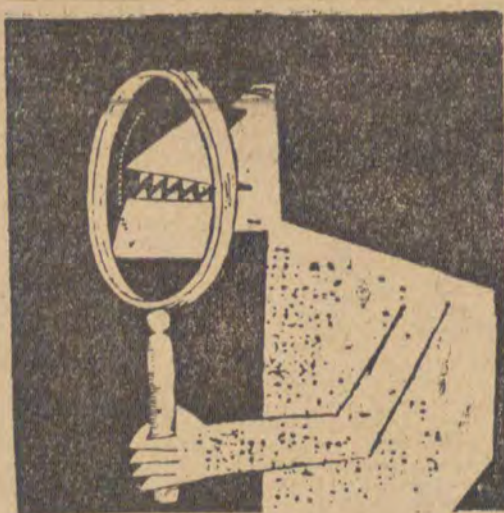
Alfred Hitchcock

Lee Costa wszedł do restauracji, która była własnością Rosettich. Stał w drzwiach i rozglądał się po sali. Po chwili podszedł do niego kelner. — Szukam pana Joe Rosetti — powiedział Costa. — Kogo mam zameldować? — Proszę mu powiedzieć, że czeka na niego agent ubezpieczeniowy. — To wszystko? — Tak. On będzie wiedział o co chodzi. Costa skierował się w stronę szatni, by tam zostawić swój płaszcz. Kiedy już szedł w kierunku baru, po drodze natknął się na wracającego kelnera. — Chodźmy, zaprowadzę pana. Na trzecim piętrze nikt nie mieszkał oprócz Rosettich. Kelner zadzwonił, otworzyły się drzwi i Costa znalazł się w olbrzymim pokoju, w którym czekał na niego niski, otyły trochę mężczyzna. — Jestem Joe Rosetti — powiedział z włoskim akcentem. Nie uczynił jednak żadnego ruchu w stronę Costy, po prostu stał i przyglądał mu się badawczo. — Jest pan niższy niż myślałem. Proszę, niech pan usiądzie. Ty też, Ziggy. Milczeli. — Ma pan jakieś kłopoty z tym facetem? — spytał Ziggy. Rosetti potrząsnął głową. — Zimne, niebieskie oczy Costy zabłyśły nagle: — A jeżeli tak, to co? — Wyrzucię go stąd — powiedział olbrzymi kelner i ruszył na Costę ościeżnym krokiem. — Niech pan go uspokoi — powiedział Costa do Rosettiego. — Radzę ci, grubasie, byś wrócił na swoje miejsce. Ale kelner nie słuchał, już pochylał się nad nim i usiłował chwycić go za kłapy. W tym momencie Costa wykonał szybki ruch nogą. Ziggy ru-

GILBERT RALSTON

ZABÓJCA POWINIEN BYĆ OSTROŻNY

nał na podłogę i pozostał na niej wijąc się z bólu. — Bardzo mi przykro, panie Rosetti, ale to jego wina. — Dobra robota — powiedział Rosetti, z podziwem w głosie. — Pan wykonuje swój zawód, a ja swój — odparł Costa.



Rys. Vlasta Zabransky

— On pana zabije — przestrzegł Rosetti. — Nie. On zjedzie teraz na dół i będzie pilnował pijanych. Prawda, Ziggy?

Mężczyzna leżący na podłodze usiłował złapać oddech. Sapał i kręcił wielką głową jak raniony żółw. Jego oczy błysnęły po uśmiechniętej twarzy Costy.

— Następnym razem nie będę dla ciebie taki łagodny. Pamiętaj o tym.

Mrucząc coś niewyraźnie kelner podniósł się z podłogi i wyszedł z pokoju.

— Po co Ziggy tu przyszedł? — spytał Costa.

— Bałem się. — Mnie? — Tak.

— Niepotrzebnie. Jestem zawodowym mordercą. Robię to, za co mi płacą, nic więcej.

Rosetti był wyraźnie zdenerwowany. Usiadł w fotelu. — Dowiedziałem się, że ma pan kłopoty. Proszę mi coś o tym powiedzieć.

— Mam pewien problem. Dlatego chciałem się z panem skontaktować.

— Jak się ten problem nazywa, Mr. Rosetti?

— Roy Baxter. — Próbował pan innych sposobów?

— Mogłbym zapłacić. — To szantażysty nie zmusi do milczenia — rzekł Costa.

— Pan wie coś o tym? — Tylko to co powiedział mi nasz przyjaciel. Dowiedziałem się, że ktoś chce pana zniszczyć.

Rosetti umilkł na chwilę. — Niech pan mówi dalej, Mr. Rosetti. Powinien pan mieć do mnie zaufanie.

— Było to dawno. Zabiliśmy człowieka. Baxter dowiedział się o tym. Chce pieniędzy. Ja go znam. On na tym nie poprzestanie. Dlatego prosiłem naszego przyjaciela o pomoc.

— Oddałem mu kiedyś przysługę. Bardzo poważną. Teraz mi się odwdzięczył przysyłając pana.

— Czy pańska żona wie o tym?

— Tak, ale ona będzie milczała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

najmniej tak mówi. Nie wiem w jaki sposób zarabia pieniądze.

— Tak, ale one będzie mil-

czała. — Czy ktoś więcej wie o mnie?

— Nie. Tylko ja, moja żona i nasz przyjaciel. — Rosetti otworzył szufladę biurka. — Tu jest adres Baxtera, i jego fotografia.

— Co on robi? — Jest prawnikiem. Przy-

ciato psa. Włożył rękawiczki i zaczął posuwać się w stronę ciemniejszego domu. Wreszcie stanął na ganku. Dokoła panowała cisza. Obszedł dom i zatrzymał się przy otwartym oknie. Po chwili stanął nad śpiącym Royem Baxterem. Chwycił go za gardło, ścisnął i długo trzymał. Zdjął jedną rękawiczkę, by zbadać puls leżącego w łóżku ciała. Baxter nie żył. Costa włożył

— Ja nie używam broni. To mi wystarczy — odparł Costa i uniósł do góry obie ręce. — Bardzo przyjemna noc, prawda? — uśmiechnął się.

— Tak — powiedziała Mrs. Rosetti. W ręku trzymała pistolet. — Bardzo przyjemna noc.

Strzeliła mu dwa razy prosto w serce. Costa wypadł przez burtę. Jego ciało skryło się pod wodą. Prąd wy-

niósł je na powierzchnię i poniosł w dół rzeki.

Mrs. Rosetti długo patrzyła w jego stronę póki nie straciła go z oczu. Była zupełnie spokojna. Costa nie żył.

— Co teraz zrobimy? — spytał ja Rosetti?

Patrzył na nią wyczekująco. Odwróciła się i spojrzała na niego poważnie.

— Nic nie zrobimy. Cała sprawa jest już skończona.

Wyrzuciła pistolet przez burtę.

— Wracamy?

— Tak, ale przedtem pozapinał się. Jest chłodno i mógłbyś się przeziębować.

Tłumaczył:

ROMAN GORZELSKI

rekwizytkę i wyskoczył przez okno.

Nim wszedł do wody, chwycił ciało psa i rzucił je w stronę głębi.

Costa wolno poruszał rękami. Było mu dużo łatwiej płynąć. Do miejsca, w którym była zakotwiczona łódź Rosettich niósł go prąd.

— Costa? — zawołał Rosetti. — Tak. — Chwycił rekoma za burtę i wczółgał się do łodzi.

— Czy wszystko w porządku? — spytał Mr. Rosetti.

— Oczywiście.

— Przebież się. Na pewno przemarzłeś do kości — powiedział Joe Rosetti.

— Udało się. Nikt nie wie, że tu jestem.

— Zastrzeliłeś go? — spytał Rosetti.

Costa wstał chowając sterranione papiery do kieszeni.

— Najpierw zbadałem dokładnie całą sytuację. O wszystkim pana powiadomę.

— Bardzo proszę — powiedział Rosetti patrząc na jego ręce.

— Ja jestem bardzo ostrożny. Muszę wszystko sprawdzić.

Costa, ubrany w gumowy obcisły strój pletwonurka przedzierał się przez pociemniałą wodę. Minęło pół godziny nim dotarł do przystani Baxtera. Otworzył zwisającą mu przez ramię torbę i wyjął kawałek mięsa. Zagwizdał cicho. Usłyszał po chwili szczykanie nadbiegającego psa.

Rzucił mięso w jego stronę i skrył się pod wodą. Pies szczykał coraz głośniejsze.

W chwilę później nadzszedł Baxter z latarnią w dłoni. obejrzał dokładnie podwórze i dopiero potem uspokoił psa.

Costa czekał. Gdy Baxter wrócił do swego pokoju — pies odszedł w stronę przystani, położył się i utkwił wzrok w kawałku mięsa. Po pewnym czasie Costa usłyszał mlaskanie. Jeszcze czekał, a potem gwizdał znowu. Nie było odpowiedzi. Wtedy wysłał z wody i zdjął maskę. Przy brzegu znalazł martwe

Costa, ubrany w gumowy obcisły strój pletwonurka przedzierał się przez pociemniałą wodę. Minęło pół godziny nim dotarł do przystani Baxtera. Otworzył zwisającą mu przez ramię torbę i wyjął kawałek mięsa. Zagwizdał cicho. Usłyszał po chwili szczykanie nadbiegającego psa.

Rzucił mięso w jego stronę i skrył się pod wodą. Pies szczykał coraz głośniejsze.

W chwilę później nadzszedł Baxter z latarnią w dłoni. obejrzał dokładnie podwórze i dopiero potem uspokoił psa.

Costa czekał. Gdy Baxter wrócił do swego pokoju — pies odszedł w stronę przystani, położył się i utkwił wzrok w kawałku mięsa. Po pewnym czasie Costa usłyszał mlaskanie. Jeszcze czekał, a potem gwizdał znowu. Nie było odpowiedzi. Wtedy wysłał z wody i zdjął maskę. Przy brzegu znalazł martwe

Costa, ubrany w gumowy obcisły strój pletwonurka przedzierał się przez pociemniałą wodę. Minęło pół godziny nim dotarł do przystani Baxtera. Otworzył zwisającą mu przez ramię torbę i wyjął kawałek mięsa. Zagwizdał cicho. Usłyszał po chwili szczykanie nadbiegającego psa.

Rzucił mięso w jego stronę i skrył się pod wodą. Pies szczykał coraz głośniejsze.

W chwilę później nadzszedł Baxter z latarnią w dłoni. obejrzał dokładnie podwórze i dopiero potem uspokoił psa.

Costa czekał. Gdy Baxter wrócił do swego pokoju — pies odszedł w stronę przystani, położył się i utkwił wzrok w kawałku mięsa. Po pewnym czasie Costa usłyszał mlaskanie. Jeszcze czekał, a potem gwizdał znowu. Nie było odpowiedzi. Wtedy wysłał z wody i zdjął maskę. Przy brzegu znalazł martwe

Costa, ubrany w gumowy obcisły strój pletwonurka przedzierał się przez pociemniałą wodę. Minęło pół godziny nim dotarł do przystani Baxtera. Otworzył zwisającą mu przez ramię torbę i wyjął kawałek mięsa. Zagwizdał cicho. Usłyszał po chwili szczykanie nadbiegającego psa.

Rzucił mięso w jego stronę i skrył się pod wodą. Pies szczykał coraz głośniejsze.

W chwilę później nadzszedł Baxter z latarnią w dłoni. obejrzał dokładnie podwórze i dopiero potem uspokoił psa.

Costa czekał. Gdy Baxter wrócił do swego pokoju — pies odszedł w stronę przystani, położył się i utkwił wzrok w kawałku mięsa. Po pewnym czasie Costa usłyszał mlaskanie. Jeszcze czekał, a potem gwizdał znowu. Nie było odpowiedzi. Wtedy wysłał z wody i zdjął maskę. Przy brzegu znalazł martwe

Costa, ubrany w gumowy obcisły strój pletwonurka przedzierał się przez pociemniałą wodę. Minęło pół godziny nim dotarł do przystani Baxtera. Otworzył zwisającą mu przez ramię torbę i wyjął kawałek mięsa. Zagwizdał cicho. Usłyszał po chwili szczykanie nadbiegającego psa.

Rzucił mięso w jego stronę i skrył się pod wodą. Pies szczykał coraz głośniejsze.

W chwilę później nadzszedł Baxter z latarnią w dłoni. obejrzał dokładnie podwórze i dopiero potem uspokoił psa.

Costa czekał. Gdy Baxter wrócił do swego pokoju — pies odszedł w stronę przystani, położył się i utkwił wzrok w kawałku mięsa. Po pewnym czasie Costa usłyszał mlaskanie. Jeszcze czekał, a potem gwizdał znowu. Nie było odpowiedzi. Wtedy wysłał z wody i zdjął maskę. Przy brzegu znalazł martwe

Costa, ubrany w gumowy obcisły strój pletwonurka przedzierał się przez pociemniałą wodę. Minęło pół godziny nim dotarł do przystani Baxtera. Otworzył zwisającą mu przez ramię torbę i wyjął kawałek mięsa. Zagwizdał cicho. Usłyszał po chwili szczykanie nadbiegającego psa.

Rzucił mięso w jego stronę i skrył się pod wodą. Pies szczykał coraz głośniejsze.

W chwilę później nadzszedł Baxter z latarnią w dłoni. obejrzał dokładnie podwórze i dopiero potem uspokoił psa.

Costa czekał. Gdy Baxter wrócił do swego pokoju — pies odszedł w stronę przystani, położył się i utkwił wzrok w kawałku mięsa. Po pewnym czasie Costa usłyszał mlaskanie. Jeszcze czekał, a potem gwizdał znowu. Nie było odpowiedzi. Wtedy wysłał z wody i zdjął maskę. Przy brzegu znalazł martwe

Costa, ubrany w gumowy obcisły strój pletwonurka przedzierał się przez pociemniałą wodę. Minęło pół godziny nim dotarł do przystani Baxtera. Otworzył zwisającą mu przez ramię torbę i wyjął kawałek mięsa. Zagwizdał cicho. Usłyszał po chwili szczykanie nadbiegającego psa.

Rzucił mięso w jego stronę i skrył się pod wodą. Pies szczykał coraz głośniejsze.



BĘDZIE PORZĄDEK!

Lewym okiem

Najlepiej mają chemicy. Wymyślił sobie jakieś ogólne zasady tworzenia nazw dla coraz nowych związków i według tych zasad zmyślał słowa jednoznaczne, wykluczające — u fachowców — pomyłkę, a posiadające jedną tylko wadę: że w żadnym języku świata nie tylko nie brzmią naturalnie, ale w ogóle nie dają się wymówić. Bawił się takimi słowami Tuwim, spotkał je możemy w ogłoszeniach o rozprawach doktorskich, patrzymy zdumieni, nie wiedząc, czy to błąd drukarski, czy zły piąty kolumny: alfa-dwufenylogammapiperdyloetyloketon...

Chemicy mają dobre. Nazwy ustalone jak wyżej — mają z głowy, a posługując się nimi wcale nie muszą. Do tego służą wzory, o wiele prostsze od słów i jeszcze bardziej uniwersalne. Co mają jednak począć fachowcy ze wszystkich innych branż, gdzie przedmioty, czynności, cechy i zależności nie dają się ująć w lapidarny zrygawk dwóch — trzech znaków graficznych, gdzie

ze względu na potoczność, codzienność tych rzeczy i zjawisk niezbędne jest nadanie im zuchwalnych, ludzkich, polskich imion?

Zaczyna brakować pomysłów. Są lody bambino i bambosze bambino i radio bambino i wiele innych bambin. Jest wino Krakus, knajpa Krakus, kimo Krakus, cukierki Krakus i multum innych Krakusów, można nawet wymyślić powiatkę o Krakusie, który po wyjściu z Krakusa wstąpił do Krakusa na lampkę Krakusa.

Skąd brać nowe nazwy — ładne, handlowe, uchwytnie dla tysięcy nowych produktów, jak określić czynności, które nie są podobne do żadnych znanych dotychczas?

W wielkich światowych firmach pracują nad tym całe sztaby propagandystów. Mniejse przedsiębiorstwa radzą sobie jak mogą, raz gorzej, raz lepiej — zależnie od tego, czy jest wśród personelu ktoś z polotem, uczulony semantycznie i fonetycznie. Czasem ogłasza się konkursy — wtedy ma się dodatkowo reklamę, ale pokłosie tych konkursów nie zawsze dobrze świadczy o gustach tak zwanych szerokich mas. Pamiętam sprzed wielu lat konkurs na polską nazwę kampanu — wtedy właśnie narodziła się powszechnie dziś znana czesanka. Ale pamiętam też konkurs na spolszczenie słowa weekend. Strach, co tam ludzie wymyślali! odzinka, wypocza, sob-niedziel i jeszcze gorzej. Zostało przy weekendzie, tak jak przekrojowy perytek nie wyparł pocziwego brudzia. Mieliśmy zresztą niedawno nowy przykład: arbitrować. Pisano już o tym potworku,

nie będziemy go dobijać, sam ulegnie zastużonemu zapomnieniu.

A na przyszłość jesteśmy co się zowie urzędnik. Koniec z radosną twórczością, koniec z partyzantką i samobitką. Nowymi rodzajami podwiazek damskich, bucików, wstążeczek, haleczek, klamerek zainteresowały się wysokie władze, które nie pozwolą wydrzeć sobie prawa uczestniczenia w chrzcinach najmniejszej nawet kruższyny. Władze powołały komisję, w skład której wchodzi kilkanaście bardzo wysokich szczebli. Tylko ta komisja będzie nadawać nazwy. Zbiera się mędrzy naczelnych dyrektorów z wielu branż, z mnóstwem tytułów i dyskutują: bambino — babobrzęda czy osesek? Krakus — Wiarus — Junak czy Kozak?

Będzie porządek. Zalozy się kartoteki, wprowadzi opłaty, patenty, siemple. Powoła instytut. Wymyśli wzory sprawozdawcze. Powstanie — zgodnie z prawem Parkinsona — cała nowa gałąź administracji, zajmująca się wymyślaniem i akceptowaniem nazw, skoro wszystko inne już zostało wymyślone.

Jeszcze tylko brak komisji, która by wymyślała tematy i — co ważniejsze — nazwy dla innych komisji. Pewnie dlatego komisja, o której mówimy, nazywa się pięknie i trafnie: Komisja Nazewnictwa.

Wchodzimy, proszę Was, w szczyt Komisji-nictwa.

ĆWIEK